

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 1 STYCZNIA 1928 ROKU

NR 1

TREŚĆ NUMERU: Przed nową próbą sił—*Stefania Podhorska-Okołów*. Na drodze ku przebudowie społecznej—*Bogdan Suchodolski*. Ś. p. Jadwiga Sikorska — *Stefania Podhorska-Okołów*. Wiersz: „Krzysztof w służbie u diabła” — *I. K. Młakowiczówna*. Jemioła — *Han. Skar.* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Z wystaw — *I. j.* Z życia ekranu — *Sef. H.* Z książek — *Z. M. i W. B.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Listy, które nie dochodzą... — *W. D.* Życzenia — *J. S.* Cośnecoś o narciarstwie, Pokaz robót kobiecych u ziemianek — *Pani Elżbieta*. W noc noworoczną — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje, Dodatek „Mody i roboty”: Na karnawał — *Well*. Firanka ręcznie haftowana. Dodatek powieściowy: „Smutniejsze niż miłość” — *Sofja Casanova*—tłum. *Marja Lutosławska*. Arkusz wzorów.

PRZED NOWĄ PRÓBĄ SIŁ

Refleksje noworoczne

Natura ludzka wymaga rytmicznego ustosunkowania się do zjawisk życiowych. Działalność zarówno jednostki, jak gromady, rozpada się na szereg frazesów muzycznych, poprzecinanych dłuższymi lub krótszymi pauzami, jakby dla nabrania oddechu. Zdarza się, że te frazesy muzyczne są powiązane wspólną tonacją w jednolity „opus”, i wtedy mamy do czynienia albo z linią określonego charakteru ludzkiego, albo z parabolą zbiorowego wysiłku, albo wreszcie z zamkniętą bryłą czynu dokonanego. Częściej, niestety, urywa się ciągłość melodji, albo też wcale się o nią nie kuszono i wówczas zamiast muzyki mamy kakofonję, zamiast harmonijnego zespołu dźwięków — społeczny jazzband.

Żeby sobie te zjawiska należycie uprzytomnić, dokonywać ich racjonalnej selekcji, zwaloryzować je według zgóry ustalonej normy użytkowej, — koniecznym jest moment zahamowania rozpedzonej maszyny, obiektywnego rzutu oka wstecz, zestawienia rachunku strat i zysków, wypowiedzenia z tych obliczeń nakazów na przyszłość.

Prymitywna mądrość życiowa i odwieczna tradycja uświęciła dzień Nowego Roku, jako punkt szczytowy ludzkich zabiegów i zamierzeń, jako strażnicę graniczną, skąd widać i to, co jest poza nami: ziemię własną, trudem i znojem zdobytą, — i to, co

przed nami: ziemię obcą, nieznaną, czasem wroga, — światy do zdobycia. Na podbój tych światów nieznanych nie idzie się z gołymi rękami. Niedoświadczony i lekkomyślny ten rycerz, który nie docenia wartości przeciwnika. Niekażdemu dane jest być Dawidem, który jednym pociskiem procy pasterskiej obala Goljata. Tytanem potężnym, o nieznanym obliczu jest jutro, zagadnienie tem trudniejsze, że kluczem, rozwiązującym je, nie jest martwa algebraiczna formuła, ale żywy kompleks zjawisk, narastający nam pod ręką, w trakcie urabiania ich, jak ciasto w dzieży.

Nowy rok jest tym właśnie terminem sprawdzania zasobów, oceniania zasług, sumowania dorobków, wykreślenia planów na rok przyszły, wydawania mąki na świeży rozczyn prac w nowej dzieży, przystosowanej do naszych potrzeb, warunków i zamierzeń. Wiemy, że od dobroci drożdży, czy kwasu, zawisł cały przebieg fermentacji i wartość chleba. Nieraz jedna kropla jadu, niebacznie wsączona do rozczynu, jedno ziarno, zarażone sporyszem nienawiści, zatruwa cały wypiek, którym żywi się rodzina, grupa społeczna, albo liczne zgłodniałe rzesze, żadne zdrowego pokarmu, przychodzące po niego z pełnym zaufaniem, oddające zań swoje ciężko pracowane grosze, i coś więcej jeszcze: swoją dobrą



6 739/1928

wolę, swoją wewnętrzną skłonność i niezachwianą wiarę. Biada tym, którzy frymarczą zaufaniem mauluczkich dla niegodnych celów osobistej korzyści lub kariery, ciasnego partyjnictwa i kręactwa politycznego. Każdy ich czyn, podstępnie schlebiający instynktowi tłumów, jest pocałunkiem Judasza, zaprowadzającym te tłumy w niewolę prywaty, warcholstwa, anarchji, politycznej szarlatanerii, oszukańczej gry na giełdzie ludzkich umiłowań podrobionemi walorami rzekomych ideałów.

Taka gra mści się w rezultacie na jej inicjatorach i reżyserach, ale zanim to nastąpi, ileż ten nienasycony smok karierowiczostwa pochłonie ludzkiego mięsa, iluż jednostkom odbierze wiarę w możliwość uczciwej pracy społecznej, ileż zatruje najczystszych ukochań, na iluż ustach, pałających żądzą prawdy, położy pieczęć milczenia, iluż fanatykom sprawiedliwości rzuci pod nogi kamień szyderstwa i cynicznego wyzwania!

Bywa, że kiedy ponad tym całym zalewem nienawiści i upodlenia podniesie się jakaś ręka z pochodnią, oświetlającą krwawemi błyskami wiry i nurty ludzkich namiętności, to takie na ich widok ogarnia zniechęcenie i odraza, że piorunowa dłoń, miast błyskawicą sprzeciwu rozedrzeć odmęty, opada bezradnie i z sykiem pogrąża się w toń nieprawości.

Jest to fakt powszechnie znany, i u nas i na całym świecie, że wobec szalejącego orkanu nadużyć i łotrystwa—prosta, katechizmowa uczciwość wprawdzie nie zawsze jest ślepa, natomiast zazwyczaj jest niema. Jeżeli przemawia, głos jej, odosobniony i czysty tonie w zgiełku hałaśliwej reklamy, jak łódź blijna na falach wzburzonego jeziora. Tę łódź uczciwej myśli politycznej, miotaną ustawicznie prądami sprzecznych programów, ocalić może tylko sumienie, stojące u steru.

Wyrazem tego sumienia narodowego powinna być przede wszystkim prasa kobieca. Jej w udziale przypadło szczytne posłannictwo wyłuskania ziarna prawdy z plew obłudy. Ona, jak doświadczona gospodyni, powinna dokonać selekcji tych nasion, które w glebę społeczną rzuca się codzień pełnemi garściami bez wyboru, bez zastanowienia, nie bacząc, że inaczej uprawia się rolę życia, inaczej sypie się wzgórze śmierci.

Ona, ta prasa kobieca, która podobnie, jak dom rodzinny, przechowała przez cały okres niewoli nie-
tknięte ideały polskości, i teraz ma obowiązek strzec powag i tych ołtarzy, które życie współczesne przezornie omija, bo przeskoczyć ich nie może, a obalić nie ma możliwości i odwagi.

Rok nadchodzący przynosi nam nową próbę sił: wybory do Sejmu, próbę tem cięższą, że wzburza ona zazwyczaj wszystkie męty fanatyzmu, budzi wszystkie polipy społeczne, drzemające na dniu życia gromadnego, porusza martwe laguny ospalstwa i zastoju, które dać z siebie nie mogą nic, prócz zgnilizny, politycznej malarji i newrozy.

Na każdym niemal rogu otworzą się sklepiki z wiktuałami smakowicie przyprawionych haseł, tych przedmiotów pierwszej potrzeby, które tłum zawsze chłonać będzie chciwie, bez względu na ich wątpliwą wartość odżywczą i niewątpliwą szkodliwość falsyfikatu. Wyrócona zostanie do góry dnem beczka niezawodnych komunałów, w której dowoli grzebać będą wszyscy śmieciarze partyjni w pogoni za taniemi świecidełkami, któremi skusić można i omamić łatwowiernych barbarzyńców — rzesze wyborcze. Puszczzone zostaną w ruch wszystkie djabelskie młyny, piekielne karuzele, latarnie czarnoksięskie i magiczne fajerwerki agitacji, cały ten dym bez ognia, pod którym ukrywa się popiół i próchno. Nastąpi przelicytowanie się wzajemne programów i nazwisk, frymarczenie ideami i ludźmi, polowanie par force na głosy, pościg obłąkańczy, który w wilję wyborów przerodzi się w istne cwałowanie Walkiryj.

Do tej niezdrowej atmosfery przedwyborczej prasie kobiecej nie wolno wprowadzać jeszcze jednego bakcyła korupcji społecznej. Musi ona być tą strugą czystej wody, przekreślającej mroczne odmęty jasną swastyką miłości, i pojednania.

Walka przedwyborcza, zaciekłość partyjna nie może mieć do niej dostępu. Pewne jednostki niewątpliwie w tej walce pogrążą się aż do zapamiętania: temu nikt nie zdoła zapobiec. Ale prasa kobieca nie powinna ani na chwilę zejść ze stanowiska busoli kierowniczej, która rozbitkom ułatwia ratunek, a wahającym się wskazuje jedyną uczciwą drogę wyboru: własne nieprzekupione sumienie. *Stefanja Podhorska-Okołów.*



BOGDAN SUCHODOLSKI

NA DRODZE KU PRZEBUDOWIE SPOŁECZNEJ

(O szkołach „Service Social” w Belgii)

O ruchu, nazywającym się „Service Social”, dochodzą do Polski echa bardzo słabe. A jednak w Ameryce i pewnych krajach Europy Zachodniej ruch ten ma nie tylko liczne rzesze gorących, zaślepionych niemal wyznawców, ale również posiada — co trzeba obiektywnie przyznać — doniosłe znaczenie i sięga niejednokrotnie do podstaw nowoczesnej kultury, wnosząc nowe i dodatnie wartości.

Idea całego ruchu bierze początek z kraju, w którym techniczno-materiałna kultura europejska znalazła najpełniejszy swój wyraz: z Ameryki. A idea ta, płynąca z odczucia ludzkiej nędzy i bezradności, z odczucia krzywd, wyzysku i niesprawiedliwości, z tęsknoty do moralnego odrodzenia — jest pragnienie przebudowy życia społecznego na zasadach miłości bliźniego. — Idea ta jest tak wielka, a zarazem tak dobrze znana od wieków, tak nierealna, rzekomo, i niemożliwa do osiągnięcia — iż każde nowe jej sformułowanie, lub wysunięcie budzi uśmiechy, pełne politowania dla niepoprawnych idealistów, lub pełne wyrozumiałości dla „dużych dzieci”.

Ten złośliwy sceptycyzm, lub uzasadniona nieufność do wielkich haseł i głośnych deklamacyj nie może jednak dokonać ruchu „Service Social”. Jego idea nie staje się nigdy przedmiotem patetycznych wypowiedzi, bo jest dyskretnie ukryta w pracy samej; nie staje się też nigdy przedmiotem nieprodukcyjnych tęsknot, lub materiałem propagandy, bo w całym ruchu chodzi przede wszystkim o sposoby realizacji ideałów i zamiarów. „Service Social”, to nie apostołstwo idei, rozumiane, jako propagowanie i wykładanie jej, — to organizacja pomocy człowieka dla człowieka, to — na tle codziennych wymagań dnia i życia — zarysowane możliwości i sposoby realizacji idei.

Głównym zaś organem tego realizowania przez organizowanie są szkoły, przygotowujące młodzież do pracy w „Service Social”, i dlatego, mówiąc o szkołach, poznamy najlepiej charakter i doniosłość całego ruchu.

Szkoły „Service Social” istnieją w Belgii od lat ośmiu.

Są to dziś szkoły, utrzymywane i kierowane przez państwo. Warunkiem przyjęcia jest ukończenie 18 lat życia i złożenie, po pierwszym miesiącu, próbnego egzaminu. Nauka trwa dwa lata. Urzędo-

wo określonym celem szkół tych jest: „former des femmes et des hommes d'oeuvres professionnels, des spécialistes pour les oeuvres d'entre-aide et d'assistance”. Do osiągnięcia tego celu służy program zajęć. Rok pierwszy przeznaczony jest na studia ogólne wszystkich uczestników szkoły; obejmują one: prawo publiczne i administracyjne; ustawodawstwo pracy; ekonomję polityczną i społeczną; higienę i ratownictwo; psychologję ogólną i społeczną; naukę o organizacji instytucyj wychowawczych i dobroczynnych; statystykę i metody ankiet; organizację biur i kurs moralności świeckiej, lub religijnej. Oprócz tego — ćwiczenia fizyczne i bardzo częste zwiedzanie instytucyj i środowisk społecznych. Rok drugi (obowiązkowy egzamin z pierwszego roku) dzieli się na sześć specjalności, z których uczniowie obierają jedną. Są to:

I. *Enfance* — w tej grupie uczestnicy zapoznają się z ustawodawstwem, dotyczącem dzieci, higieną matki i dziecka, ekonomją domową, ochroną dziecka, prawami szkolnemi, psychologją dziecka i pedagogiką, anormalnością dzieci, wychowaniem fizycznym, życiem szkolnem, poradnictwem zawodowym.

II. *Assistance* — obejmuje kurs następujący: prawo administracyjne, historia i stan obecny dobroczynności, jej organizacja i braki; technika wizytacji społecznych, opieka nad rodziną; organizacja biur pomocy i dobroczynności; statystyka, higiena domowa, estetyka mieszkania; prawa o opiece nad matką i dzieckiem; poradnictwo zawodowe; opieka nad nienormalnymi; wychowanie fizyczne i opieka nad zdrowiem.

III. *Foyers* — opieka nad kobietą; ekonomja; higiena i estetyka mieszkania; orientacja zawodowa; organizowanie życia zbiorowego (domy ludowe, kantyny, bursy itp.); technika prowadzenia przedsiębiorstw; wychowanie fizyczne.

IV. *Industrie* — higiena zawodowa, ekonomja, organizacja techniczna pracy, ubezpieczenia, medycyna i opieka nad zdrowiem; prawodawstwo, dotyczące pracy; psychologja stosowana, psychotechnika; pomoc i wykształcenie zawodowe; ekonomja społeczna (kasy oszczędności, zyski, strajk, bezrobotni itp.); historia syndykalizmu, prawo kontraktowe, zasady obserwowania pracownika.

V. Assurances sociales — ekonomja społeczna (głównie o organizacji pracy i opieki nad pracownikami); bezrobotni i emigracja; poradnictwo zawodowe, prawa o ubezpieczeniach; organizacja biur pośrednictwa pracy i ochrony społecznej; kasy oszczędności, historia syndykalizmu, prawo kontraktowe.

VI. Bibliothèques — Biblioteki publiczne w Belgji i zagranicą; budowa, organizacja, zadania; biblioteki specjalne (dla dzieci, dla młodzieży, wiejskie, zawodowe); opieka nad książką i dobór książek; katalogowanie i bibliotekoznawstwo; aktualność biblioteki; kierowanie lekturą; zwalczanie książki złej.

Oprócz teoretycznego rozważania spraw wyszczególnionych, każda z grup odbywa wycieczki i studia praktyczne, a więc w organizacjach opieki nad dzieckiem, wśród rodzin pokrzywdzonych, w kantonach, hotelach, domach ludowych, w fabrykach (jako robotnik) i w organizacjach opieki nad robotnikiem; w biurach ubezpieczeń, w bibliotekach itp.

Na egzaminie (samodzielna praca pisemna i egzamin ustny), uczeń otrzymuje dyplom i idzie służyć ludziom. Czemże być może i jakie stanowisko może zająć? Zależnie od ukończonej specjalności, ma do wyboru cały szereg możliwości; oto najważniejsze: kierownictwo ochronek, domów sierot, domów dla dzieci nienormalnych, kolonij letnich, obozów; praca w urzędach opieki nad dzieckiem, w organizacjach opieki nad dzieckiem i młodzieżą, opieki nad młodą kobietą; praca w zakładach poprawczych, internatach, bursach, szpitalach, sanatorjach; praca w urzędach gminnych, samorządowych i komunalnych, zajmujących się sprawami społecznymi; w biurach statystycznych, poradniach zawodowych, biurach pośrednictwa

pracy; w domach ludowych, syndykatach, kasach oszczędności; w ministerstwie pracy i opieki społecznej; w Czerwonym Krzyżu, w ligach antyalkoholycznych, przeciwgruźliczych itp.; w bibliotekach, czytelnich, w instytucjach opieki nad robotnikiem, w fabrykach, w ubezpieczeniach społecznych i t. d.

Po tem wszystkim charakter i rola szkół „Service Social“ powinna być jasna. Nie są to szkoły, wpajające, lub propagujące ideały: ci, którzy do nich wstępują, mają je już w sercu, t. zn. pragną pomagać ludziom i usuwać zło z życia; w szkole uczą się tylko trzeźwych i praktycznych środków, znajdując odpowiedź na pytanie: jak to uczynić można? Cały wogóle ruch „Service Social“ o wiele mniej interesuje się propagandą ideałów, niż inne, podobne prądy; chodzi mu natomiast najbardziej o socjalne skoordynowanie rozproszonych, drobnych usiłowań, o nadanie im kierunku, o wprowadzenie w konkretne życie dnia codziennego wielkich ideałów. Prosto i bez krzyku przenikają wychowankowie szkół „Service Social“ w społeczeństwo: w wioskach, w miasteczkach, w fabrykach, w czytelnich, w zakładach sierocych, w towarzystwach dobroczynności, w związkach samopomocy, w szpitalach, w szkołach, w biurach pracy, w ligach przeróżnych, wśród dzieci i starców, wśród kobiet i dziewcząt, wśród robotników i ludzi cierpiących, a ubogich — biorą w młode, lecz wykształcone dłonie ster i kierują trzeźwo, a twórczo pomocą człowieka dla człowieka. Wchodzimy tu w świat pracy nad wielką przebudową społeczną.

*) Informacje znaleźć można w miesięczniku „Le Service Social“ (od 1921 r) i w książkach Cambo „Social Service“ (ang.) i Richmond „Les nouvelles méthodes d'assistance“ (tł. z ang.).



Wszystkim naszym prenumeratorkom, czytelniczkom i przyjaciółom naszego pisma przesyłamy najserdeczniejsze życzenia Noworoczne.

Obyśmy jeszcze długie lata mogli spędzić we wspólnej pracy ku dobru Ojczyzny i pożytkowi kobiety polskiej.

Ś. P. JADWIGA SIKORSKA

Sylwetka pośmiertna

Niedawno na tem miejscu, z powodu ukazania się książki zbiorowej, p. t. „Szkoła Jadwigi Sikorskiej“, kreśliłiśmy zarys 50-letnich trudów i zasług tej wychowawczynie licznych pokoleń kobiecych. Minęło parę tygodni, i oto stoimy nad trumną naszej niezapomnianej Przełożonej, wobec przejrzystego, jak kryształ, żywota, który ostateczną, najdoskonalszą krawędzią zamknęła śmierć.

Ś. p. Jadwiga Sikorska urodziła się w 1846 r. i chowała się w tej atmosferze międzypowstaniowej, która na jej duszy młodzieńczo-plastycznej odcisnąć musiała piętno wewnętrznej rycerskości i męstwa, tego, co Rzymianie i praojcowie nasi mianowali „virtus“, — cnoty obywatelskiej. W sercu jej szybciej, niż lata, rosło poczucie służby społecznej z mocnym przekonaniem konieczności usunięcia osobistych aspiracji na ostatni plan. Córka Józefa Sikorskiego, który za młodu walczył w 1831 r. w pułku Władysława Zamoyckiego i był ranny pod Grochowem i Ostrołęką, a potem, jako nauczyciel i krytyk muzyczny, brał żywy udział w ruchu artystycznym i literackim ówczesnej Warszawy, — miała Jadwiga Sikorska sposobność bezpośredniego czerpania ze źródeł tradycji i kultury rodzimej. Na ten napój duchowy zareagowała po-swojemu, zgodnie ze swoją indywidualnością i zaso-bami umysłowemi: odruchem świadomego czynu, który nie był ani ofiarą, ani poświęceniem: był organiczną potrzebą charakteru czynnego, prostolinijnego, przecinającego wszystkie wątpliwości kategorycznym nakazem obowiązku.

A obowiązki te wzięła na swe barki wcześniej i z ochoczym zapałem, wzorem „entuzjastek“ i Narcyzy Zmichowskiej, pod której kierunkiem się kształciła. Zawód nauczycielski był jej powołaniem od zarania młodości. Przez osiem lat, jako nauczycielka, pracowała na pensji Pauliny Krakowowej, a kiedy w 1873 r. władze rosyjskie odkryły i zamknęły potajemną szkołę, prowadzoną przez jej starsze siostry, Jadwiga Sikorska, korzystając z dyplomu, uzyskanego w instytucie maryjskim, otwiera szkołę jawną w domu na rogu ul. Królewskiej i Marszałkowskiej, gniazdo patriotyzmu, rzetelnej oświaty, sumiennego wychowania obywatelskiego, — to gniazdo, z którego co roku wyfruwało w świat stado „sikerek“, aby skrzydeł swych wypróbować w wicherze samodzielnego lotu i siać wokół siebie złoty puch prostych, uczciwych, niezastąpionych prawd, w które tam, na pensji, porosły.

Ze praca Jadwigi Sikorskiej za czasów Apuchtynowskich była więcej, niż poświęceniem, graniczyła niemal z bohaterstwem, — o tem dobrze wiedzą ci, którzy tak, jak ona, niezłomnie trwali na posterunku i przetrwali. Ale, niestety, nie wszystkim dane było



ś. p. Jadwiga Sikorska

ujrzeć owoc długoletniej ofiary: niepodległą i odrodzoną Polskę! Jadwiga Sikorska należała do tych nielicznych, a szczęśliwych mularzy, którzy i po ogłoszeniu niepodległości mogli dokładać cegiełki swej pracy do ogólnej rozbudowy. Złożone przez nią w darze Państwu polskiemu gimnazjum imienia Królowej Jadwigi, którego honorową przełożoną pozostała niemal do ostatnich miesięcy życia, rozwija się w myśl jej ideałów i założeń, jako nieoceniona spuścizna pracowitego żywota. I oto jesteśmy świadkami wzruszającego momentu. Osiemdziesięcioletnia staruszka wycofuje się z pełnienia obowiązków codziennych dopiero w przekonaniu, że brak sił nie pozwala jej być pożyteczną. Poraz pierwszy w życiu rozkoszuje się polską jesienią na wsi, zanim dobrotliwa zima na wieki zamknie jej oczy.

Osypała się, jak kłos dojrzały, który nietylko zdążył wszystkie swe ziarna zasiać w ziemię rodzajną, ale widział, jak okiem sięgnąć, pola, szumiące zbożami — dziećmi jej ducha. Wszystko, co jej było, od dała ziemi ukochanej, unosząc w zaświaty symbol i nagrodę swej pracy „Polonia restituta“.

Stefanja Podhorska-Okołów

I. K. IŁŁAKOWICZÓWNA

KRZYSZTOF W SŁUŻBIE U DJABŁA¹⁾

POŚWIĘCONE P. R. KNOLLOWI

I

Przysiągłem Złemu Panu.
Za jednym sknieniem brwi
pochylają się głowy służalco,
tryskają fontanny krwi.
W upojeniu dziękmi i niecnem,
w szaleństwie czarnem i znojmem
miotalem się w orszaku
jak reszta — zuchwały i zbrojny.

Z watahy leśnego zbója
wziął był mię cesarz na dwór;
stałem, wartownik przy tronie,
chłodzony wachlarzem z piór,
pod olbrzymim, złocistym sztandarem
biegłem z okrzykiem na boje...
Rannego pojmał mię Zły
w nieczystą służbę swoją.

Przysiągłem opuścić cesarza,
być wiernym przez każdą próbę,
przysiągłem na śmierć czerwoną,
na świata wieczną zgubę,
umaczałem rękę we krwi
i skreśliłem znak na głazie...
Mocarzem jest mój Pan,
kogóżbym się przeraził!

W obozie naszym pieśniarze
głaszczą nas brzmieniem strun,
rozpostarte płótniska namiotów
łuskają od starych run,
dumy się mroczne ściela
po kobiercach zmartwiały od sadzy...
O Szatanie, królu świata,
wielką jest twoja władza!

II

Gdy małym byłem chłopcem,
włóczęgą silnym i bosym,
targał mną ślepy głos,
podnosił na głowie włosy,
po nocach mię ze snu zrywał
niepodziany, podstępny wróż:
„Jeśli masz służyć, Krzysztofie,
najsilniejszemu słuź”.

Rosły kości jak grube konary,
siła stała się krzepka jak wino,
olbrzym — dzięk, wesół i bosy —
przebiegałem za zwierzem doliną,
pomny głosu, który mnie przenikał,
w mocy mojej — jak było od dziecka,
łuk cisnąłem, wyciosałem topór
i przystałem na służbę zbójczą.

Kiedy zbója cesarz na powrozie
związane go za bachmatem włókł,
rozerwałem pęta jednym drgnieniem,
roztrąciłem orszak bladych sług
i ukląknąłem u cesarskiej drogi,
abym w prochu przed nim czołem uderzył:
„O cesarzu, zwycięzco silnych,
weź Krzysztofa, zbója, za żołnierza!”

Obróciło się koło czasu,
w wielkiej bitwie zbladł carski blask,
przeciwnikę hufce wódz prowadził
w czarodziejski przyodziany kask
i padając ranny pod kopyta,
śród trąb wielkich przeciągłego grania
zobaczyłem, jak się cesarz, biały
z przerażenia, na rumaką staniał.

III

Przysiągłem Złemu Panu
najsilniejszemu na świecie,
nasz zastęp całe ludy
jak liście przed sobą miecie,
cała ziemia jest nam poddana,
świat cały naszą ojczyzną,
króluje nasz Pan nad sercami
namową, przymusem, trucizną.

Wyrusząmy śpiewając o świecie
śladem jego skrzydeł na łów,
schylają się kornie ku ziemi
łany poddańczych głów.
Gdzie Pan nasz zasiał niezgodę,
wychodzimy ze szczękiem na żniwo,
nie ujdzie z siół stratowanych
ni jedno niemowlę żywe.

Jakże bije serce niezłomne
uderzeniem szybkim, zwycięskim,
otom jest na szczycie potęg,
nie zaznam przynigdy klęski!
Bezgranicznie Pan mój i mocarz
swych junaków wiernych wynagradza...
O szatanie, cesarzu świata,
wielką jest twoja władza!

IV

Pod namiotem, na kobiercach wzorzystych
leżą cytry wzdłuż omdlałych rąk;
jak zwarzone wichurą powoje
rozsypany się tancerki wkrąg,
posnęły, ścięte znuzeniem,
w nagości bledszej od lilji...
... Zасыpiają rozgłośni i mocni,
co najbardziej dziś się umęczyli...
Róż girlandy z festonów omdlałych
upuszczają woniejące listki...
popadały na maty — opalone
pocałunków pożarem flectistki...
Ożywiły się runy dookoła
i rozbłysły od księżycy jak noże;
westchnął Pan nasz, schylony nad stołem,
oczy martwo na gwiazdy otworzył.

Pod namiotu trójką otwarty
wbiegła ciemność lotem nietoperza:
posłyszałem, jak Pan mój o ławę
niespokojnym sztyletem uderzył
i krugulcze zaciskając ręce
na rzeźbionej, złoconej poręczy
jak wyszeptał: „O Boże zwycięski,
jesteś wszędzie i zawsze mnie męczysz!”

V

Ja, Krzysztofe, rzuciłem pod nogi
Szatanowi kółczugę i miecz,
w gwiazdzistą noc bez słowa
z obozu odszedłem precz.
Pod obojętnym księżycem
na bezdrożu ogromnem wołam:
O losie, schwytałeś mię w sidła,
Daremnie dotychczas płonąłem...

O głosie, któryś mię judził,
coś żgał mię po nocach nożem,
na nic te wszystkie czyny,
którem dotychczas położył;
byłem niewolnikiem niewolnych,
byłem pacholkiem sług...
Gdzie ów, co ich wszystkich pokona,
gdzie zwycięzca ostatni — Bóg!?

O lesie, któryś się nocą
w cień nieskończony wydłużył,
wzywam cię, ojczy, na świadka,
żem odważnie i wiernie służył.
Oceanie, któryś pierścieniem
łądy dookoła zatrzymał,
wiesz, że na wszystkie szale,
rzucąłem siły olbrzyma!

VI

Oto rany na ciele mojem,
ściągnięte w bolesne blizny,
niechże mi nie przepadną,
niech mi za nie zwycięzca żołąd przyzna.
Nie sterałem żelaznej mocy
w nadziei twardej jak spiż.
że służąc najgodniejszemu
— idę niezmiennie wzwyż.

O głosie, coś mię podżegał,
O duchu, coś mię opętał,
nie będą moje barki
pod jarzmem niegodnym zgięte!
Przytroczyłeś mię na haniebnym powrozie
do orszaku bladego tchórze...
już mi jego gwiazda zagasła,
Już jak księżyc — w zachodzie się nurza.

Niech przepadnie nikczemna pamięć,
moją przeszłość — trucizną poraził
Rozłupałem słowo wierności
wraz z przysięgą wyrzucił na głazie...
Aby wyzwąć moce nieznanne
całej ziemi i niebiosom zagrozę.
Ty, coś krył się dotychczas przedemną,
gdzie jesteś, gdzie jesteś. Boże!?

¹⁾ Święty Krzysztof, obiecawszy sobie za młodu służyć najsilniejszemu na świecie panu, kolejno był na służbie u zbója, cesarza i diabła do chwili, aż się przekonał, że każdy z nich bał się kogoś silniejszego od siebie; poczem udał się na poszukiwanie Boga, aż wreszcie został świętym.

HAN. SKAR.

J E M I O Ł A

Brytyjska idylla świąteczna — Hy he, Kent, Anglja

Dnie stawały się coraz krótsze, ciemniejsze, wczesnym rankiem pobielone szronem. Ale było wciąż zielono.

Ciemną zielenią połyskiwały ostrokrzewy i krzaki rododendrowe, rosnące tak obficie po drogach okolicznych. A drzewa, jeżeli chwiały się już nagie, bezlistne, to pnie ich i gałęzie zdawały się być pociągnięte patyną grynszpanową.

Od tej bezustannej, włóczącej się nisko wilgoci puszczały się wszędzie mchy, bujne, jaskrawe, jak sałata w maju. I hasały, hasały mokre, słone wiatry z nad morza!

Tylko czasem, kiedy zmierzch stawał się zbyt granatowy, a pasmo nieba w stronie zachodniej zaczynało nagle gorzeć, niczem łuna pożarów—zdawało się naprawdę, że to są właśnie dnie grudniowe, i że w nocy spadną wielkie śniegi.

I że święto Gwiazdki tuż, tuż.

Halina żyła w jakimś zawrotnym wirze niecodziennych wydarzeń. Od paru tygodni dnie przestały być stateczne, porządnie pracowite. Wszystkie od rana do wieczora zdawały się być lekkomyślne, niepewne — ot, łaziki bezrobotne!

Wszystkie można byłoby znaczyć czerwono na kartach kalendarza. A tu właśnie zbliżały się prawdziwe święta.

W całym domu wyczuwało się ich smak. Najmocniej uderzał nozdrza zapach imbiru.

Zapobiegliwa, o długich, czerwonych włosach Alicja (była szkotką) zabierała się do pieczenia plum-puddingu, a kiedy Gladys z leciutką dumą przeczytała Halinie przepis na sporządzenie tego ciasta, cudzoziemka wykrzyknęła olśniona:

— Myślisz, że—to—może smakować!?

— O lovely! bo i posłuchaj; musimy zakupić dużo, dużo czarnych rodzynek, ale tych, australijskich, a pestkowe, złociste muszą pochodzić z południowej Afryki. Cierpkie jabłuszka z Kanady, szmalec z Nowej-Zelandji, a cukier bujno-ziarnisty, miodny, tylko ze Wschodnich Indyj; cynamon z Cejlonu, zaś gałka muszkatołowa z Zanzibaru. Dużo, dużo rumu z Jamajki; Gill-Brandy z Cypru i tylko stare, czarne piwo stąd, z Irlandji.

Oczywiście, mąka i pokruszone razowe suchary, ale i imbir! To wszystko. I trzeba to wiercić, kręcić, zapiekać przez kilka dni i nocy. Ale dlatego, może stać później — aż do przyszłych Świąt!

I ledwo uporano się z plum-puddingiem, którego sytny zapach rozlaził się po całym domu — rozpa-

sała się istna orgja „X-mas“ prezentów. Doprawdy, trzeba było widzieć te drobiażdżki, te małe — nic, które trzeba było wyszukiwać po sklepach, pakować i rozsyłać, rozsyłać na wszystkie krańce świata, do przyjaciół, przebywających akurat w jakichś tajemniczych miejscowościach, o których słabe miało się pojęcie, a skąd właśnie do serca imperjum nadsyłać rumy i gałki muszkatołowe.

W tym wypadku, raz koło Bożego Narodzenia, Gladys była wyjątkowo skrupulatna. Halina starała się przekonać przyjaciółkę, że napewno nikt z tego nie będzie miał najmniejszej pociechy, ale angielfka odpowiadała lakonicznie: „taki zwyczaj, darling“!

I rzeczywiście, któregoś dnia wieczorna poczta przyniosła i do nich pierwszą paczuszkę. Rozwijano, rozwijano bez końca jedwabistą, błękitną bibułkę — aż wyłuskano wreszcie—różnokolorowe groszki. Były to wschodnie kadzidła.

Okadzono niemi natychmiast cały dom, a w parę godzin nie było z tego ani śladu. Odtąd co dnia kołatka listonosza kołatała do drzwi frontowych nie trzy razy dziennie, jak to było zazwyczaj, a sześć... Posłaniec przybywał obwieszony, najeżony paczkami.

Składano je skrupulatnie na specjalnie ustawionym stoliku w hall'u. Później — miały powędrować do kosza.

Znowuz lady Thomson, najgodniej prezentująca się „piękna-matka“, śpieszyła z wykończeniem robótek szydełkowych.

Każdy z domowników musiał się przyłożyć do tych kreacyj i zakupić włóczkę od siebie. A później młode kobiety ozdabiały wszystkie te dziecinne sukienki i kaftaniczki niebieskimi sznureczkami. Były to świąteczne podarki dla sierotek.

Lady Thomson obdarzała rokrocznie dwadzieścioro dzieci, i tak od dwudziestu lat.

Przy każdej z tych robót—i wielu innych—asystował nieodzownie Harold, i wszystko naraz stawało się jeszcze zabawniejszem i ciekawszem.

Krętaniny więc i przygotowań było bez liku.

Halina codziennie zabierała się do pisania listów do kraju. Zaczynała każdy wesoło, ani jednym słowem nie zdradzając tęsknoty, bo jej też nie było ani w sercu, ani w myślach.

Pisała i nie kończyła... bo gong przyzywał kilkakrotnie wciągu dnia do stołu, i trzeba było przebierać się, wciąż się przebierać i starać się być modną, ładną i wesołą.

Właściwie pierwsze świąteczne dnie nastąpiły z przyjazdem Harolda. Spadł nagle do tego domu,

na którego bramie stało wypisane: „Old-Nest” *), trudno powiedzieć, jak śnieg na głowę, bo śniegi w tym kraju prawie nie padają.

Coprawda, od paru miesięcy przysyłał karty z afrykańskich plantacyj pomarańcz, czy trzciny cukrowej, że już jedzie, jedzie. Coprawda, niepowszednio był tu oczekiwany... ale przyjechał, właśnie, gdy nikt się nie spodziewał.

Zawitał do nich, jak — Zwiastun gwiazdki.

W tym dniu grudniowym, kiedy na ulicach wszystkich miast i miasteczek pojawiają się zakapturzone „Duchy Świąteczne” w czerwonych salopach, brodate, bezimienne, w maskach dobrych staruszków Mikołajków na twarzach, i zaczynają się snuć pomiędzy tłumem, kiedy najwyższy czas poważnie myśleć o puddingu,—przybył do „Starego Gniazda” Harold i wypełnił sobą wszystkie kąty domu.

Gladys twierdziła, że jest tak czarujący, jak sam książę Walji, tylko daleko szczęśliwszy od księcia, a i wogóle...

Kit, jak zawsze i we wszystkim opanowany, wcale, ale to wcale nie był zazdrosny o swego kuzyna. Służące, szczególnie młodsza, Flory, jawnie adorowała przybyłego gościa i promieniała pod białym czepeczkiem, gdy zwracał się do niej tajemniczo po hindusku.

Jeden Bóg raczył wiedzieć, co to mogło oznaczać!

Psy, pieszczone w tym domu, jak dzieci — poszalały z radości, bo czegoż z nimi nie wyprawiał!

Jednym słowem, Harold czuł się panem wszystkich nadarżających się sytuacji. Miał także swoje rozmaite kaprysy. Gdy dłuższą chwilę zabawił sam, biegł na środek okrągłego hall’u i klaskał trzy razy donośnie w dłonie. Cóż to? — znajdował się wciąż tam — u siebie — i wzywał swe liczne ciemnoskóre sługi?

Halina za nic na te niemądre klaskanie nie wyjrzałaby ze swego pokoju.

Pierwsze pośpieszały ze wszystkich stron psy.

A i Gladys brała te rzeczy prościej: zjawiała się natychmiast u szczytu schodów, na piętrze, przewieszając się przez poręcze i zaczynała ćwierkać, jak ptak.

Ta Gladys nigdy z nikim nie politykowała od samego początku znajomości i było jej z tem dobrze.

Co innego — Halina!

Już przy samem zapoznaniu się zachowała się nieufnie.

Kit wprowadził ją do saloniku (dobrze jeszcze, że z Kitem była, jak z bratem!) i powiedział: „oto ten, nasz Harold, a oto przyjaciółka mojej żony, lady Kszt-Pszt... nie mogę wymówić”!

Harold wybuchnął natychmiast swym huraganowym śmiechem i pierwszy wyciągnął smagłą dłoń.

— Ale jakżeż ja — ja — będę nazywał? jakżeż, ja—ja—?... — Wykrzyknął.

Spojrzała na niego zdziwiona i ani, ani uśmiechu.

— Ależ, Halina i tylko! — pośpieszyła z odpowiedzią Gladys, pragnąc przerwać dziwnie zenującą chwilę...

I od tego wieczoru, właściwie się zaczęło...

Co się zaczęło? Nic. Zgoła nic. No tak, poczał się właśnie rozchodzić, rozszerzać po całym domu świąteczny nastrój i oszołamiający aromat storczyków. Pachniały tak słodko, że myśli plątały się w głowie. Stały teraz w każdym pokoju.

— Czy we wszystkich domach angielskich na Święto Gwiazdki muszą pachnieć te zimowe storczyki? — pytała cudzoziemka.

— No, nie...—uśmiechała się Gladys, — ale zato w każdym domu musi być jemioła.

A wieczorami, po obiedzie, kiedy wpadały Maud i Ruth, najbliższe sąsiadeczki—tańczono. Żadnych tu bowiem nie było umartwień, ani postów. W wesołym saloniku trzy angielski, na trzech kwadratowych dywanach uczyły afrykanina posuwistych pas Blouse’a.

Gramofon, bardzo zresztą dyskretny, śpiewał całemi godzinami modną melodię o tym czarnym kocie „Feliksie”, co to — „szedł, szedł, szedł, szedł — sam, sam, sam, sam!” i wciąż zaczynał iść niewiadomo dokąd, i wciąż samotny, jak ten kot Kiplinga.

Halina polubiła ogromnie tego sympatycznego kota, ale tańczyć nie chciała. Wogóle, rzec można—stała najdalej Harolda. Nie rozmawiali, na przykład, nigdy ze sobą.

On ani myślał mówić po francusku, gdyż wszystkich francuzów uważał za—saliguot.

Zmuszał ją, aby mówiła jego językiem, i aczkolwiek starała się paplać najpoprawniej—wybuchał co chwila śmiechem i obnosił po całym domu jej nedorzeczne słowa.

A imbardziej starał się jej dokuczyć — tembardziej wpatrywał się w nią swemi mocnemi, białemi oczyma. Doprawdy, wydawały się białe, tak jasne, że aż przezroczyste, na smagłej, spalonej twarzy.

Niewiadomo było, co bardziej przyprawiało o zamęt w głowie: zapach storczyków, czy takie właśnie spojrzenia. Halina czerwieniła się. Nie umiała się bronić. Oczywiście było, że na każdym placu zaraz skapituluje, i dlatego właśnie igrał z nią, jak kot z myszą.

I nie dość na tem. Gdy on mógł o każdej godzinie opowiadać o swych afrykańskich awanturach, lampartach i krokodylach, — ani jednym słowem nie zaczepił, co było przecież takie naturalne, — skąd przybywała nowa znajoma i jak jest teraz w jej ojczyźnie.

Zdawało się, że jednym wybuchem swego druzgoczącego śmiechu przekreślał całą jej dotychczasową, tak ważną egzystencję.

Skoro się zawieruszyła wśród nich—musiała być we wszystkim taka, jak oni! Tak to rozumiał i, oczywiście, miał rację.

(d c. n.)

*) Stare Gniazdo.

KACZĘTA

(powieść)

Całe szczęście, że tak plotła bez przerwy: mogłam jakoś ukryć wzruszenie, mogłam się przyzwyczaić, gdzie jestem — i że to nie Tomeczek mruga sennemi ślepkami...

Janinka stała z boku i przyglądała mi się pochmurnie. A ja nic. Przypadłam do kołyski i całowałam piąstki maleńkie, głaskałam to ciemiączko, pokryte delikatnym puchem, te atlasowe policzki. Małe, różowe ustka otworzyły się, nóżki skurczyły i rozprężyły znowu; Kazio poczerwieniał, krzyknął energicznym głosikiem „uua“! — potem żałośniej „uuaa — uuaaa“... i nagle wyspokojniał: zaczął mi się przyglądać z uwagą, pełen zdumienia i ciekawości.

— Śliczne dziecko! Prześliczne dziecko! Cud! — wołałam takim przejmującym głosem, że twarz Janinki rozpromieniła się raptownie. Miała teraz w oczach samą dobroć i miłość; była prześliczna!

— Naprawdę ładny? Naprawdę uważa pani, że ładny?

— Co to ładny! Nie widziałam takiego dziecka! Jak żyję, nie widziałam! — twierdziła Łuczakowa. — Piękny mężczyzna z niego wyrośnie, kobiety będą za nim ginąć! On się urodził w czepku, ten malec! Pani wie, co to znaczy? Będzie miał szczęście do ludzi... pani rozumie? On się naprawdę w czepku urodził! Mnie pierwszą zawojował, a teraz, na kogo tylko spojrzysz... O, niechno pani popatrzy, jak oczkami biega za panią! Bałamut!

Janinka porwała dziecko na ręce:

— Mój Kazio! Moje skarby! Mój synuś maleńki! Moje ty wszystko na świecie!...

A mnie ogarnęło rozrzewnienie tak wielkie, że mało się nie rozbeczałam. I nie móc w takiej chwili powiedzieć, że Tomek... że przecież ten maleńki, to prawie jakby mój wnuk!... Janinkaby mię z pewnością pokochała... I mogłabym niańczyć małego, wozić go po pokoju, czuwać przy nim nocami...

Juzbym teraz z niemi została, ale Janinka rzekła stanowczym głosem:

— Teraz mały musi iść spać...

A ja, spojrzawszy na zegar, przeraziłam się. W domu wszyscy czekają na mnie. Co też sobie pomysła? Prędko pożegnałam Janinkę, ucałowałam Kazia. Pośpiesznie wytłumaczyłam Łuczakowej, co i jak z tą spódniczką Adelki.

Przez szesnaście lat, od chwili, gdy się po śmierci Antolki sprowadziłam na stałe — nie zdarzyło się, żebym w porze obiadowej była na mieście. To oni się

często spóźniali. To ja na nich wyczekiwałam z obiadem.

Widać już zupełnie straciłam głowę, bo dla pośpiechu wzięłam na rogu dorożkę. Niechby tak kto zobaczył! Pierwsza Adelka nie wierzyłaby własnym oczom. Stara drynda tłukła się po bruku z takim hałasem, że chyba wszyscy z okien patrzyli, kto się tak w ciężkich czasach dorożkami rozbija!

Wreszcie dotarłam do domu. Kwadrans po trzeciej. Matko Boska! Jeśli Teofil się gdzie śpieszy, to już chyba Walerka sama obiad wydała!

Na schodach przypomniało mi się, że wychodząc, kredens zamknęłam. Jeśli Adelka nie znalazła kluczów za obrazem w moim pokoju...

Naturalnie, wszyscy kończyli zupeł. Teofil, zasłonięty gazetą, nawet na mnie nie spojrzął. Tomasz pogroził mi palcem żartobliwie. Jedna Adelka odezwała się zirytowanym głosem:

— Zachodziła tu praczka dwa razy. Plotła o jakichś poszewkach, że zamienili w pralni. Nie wiedziałam o niczem. Na drugi raz, jak ciocia wyjdzie z domu...

Poczem sięgnęła po dzwonek i krzyknęła Walerce, żeby prędzej zmieniać talerze. Przy pieczeniu mruknęła znowu, niby do siebie:

— Właśnie się umówiłam ze znajomymi do Botanicznego ogrodu. Myślałam, że obiad się nie spóźni. I gdzie ciocia była tak długo?

— Odniosłam twoją spódniczkę do plisowania. Będzie gotowa przed świętami.

Tomasz jadł z apetytem, mlaskając. Miałam okropną ochotę powiedzieć mu, tak prosto w oczy:

— Widziałam twego syna. Twego syna. Czy słyszysz?

23 kwietnia

Chwała Bogu, święta już minęły. Wołałam o nich całkiem zapomnieć, poprostu położyć się i przespać te długie, bez końca się wlokące dni...

Bo i co za święta? W domu pusto. Nawet Staś nie przyjechał... Z przyzwyczajenia wzięłam się do porządków w Wielkim tygodniu, ale cóż, kiedy i porządkować niema po czem.

Okurzyłyśmy z Adelcią meble w salonie, Walerka pomyśla okna, zaciągnęła podłogi (choć to też zbyteczne: nikt ich teraz nie zdeptuje) — i na tem koniec. We czwartek, dla tradycji, upiekłam parę placzków i babkę, żeby było co podać do śniadania, jak sklepy pozamykają. O prawdziwym święconem nikt słowa nawet nie wspomniał.

A ile to dawniej było pytań, przymilań, próśb! Staś lubił ciasto z szafranem, a Marek takiego do ustby nie wziął. Dla Tomasza musiał być przekładaniec. Adelka znów molestowała o prosiaka:

— Choćby takie prosiątko, takie maluskie, ciociu! I żeby skórka była chrupiąca!

Aha! Dobrze to przed wojną, kiedy człowiek wszystkiego w sklepie dostał, ile sam chciał, i nie bolała go głowa, czem zastąpić migdały, albo skąd wziąć rodzynków? Z prosięciem dla Adelci jeszcze pół biedy: Teofil sam pojechał do Kopytowa, czy też Amelka bratu przysłała przez zaufanego człowieka, który potrafił niemcom oczy zamydlić i choć po zdziebku zakazanych produktów przeschmuglować.

Zato z mazurkami był większy kram! Jakich ja nie fabrykowałam! Pamiętam jeden — każdyby przysiągł: migdałowy — z tartej fasoli! Przed wojną piesby na te smakołyki nie spojrział, a moi chłopcy jedli, aż im się uszy trzęsły.

Wszystko było dobre, smaczne, zdrowe i oszczędne — a ciocia Juścia — zuch nad zuchy!

To rozumiem! To były święta! Człowiek przedtem nie dojadł, nie dospał, nogi od dreptania pobrzękły — ale czego się nie robiło, żeby tej kochanej gromadce dogodzić!

Miałam ich wtedy w domu wszystkich razem, choć parę dni. Jak wypadła pogoda, szliśmy po kosciele na „familijny” spacer: Teofil z Tomkiem, Staś z Adelcią, a Mareczek zostawał dla mnie. Bardzo nam było dobrze z sobą. Marek wciągał powietrze głęboko w nozdrza, a potem mówił:

— Czujecie ciocia, jak pachnie zoranem polem?

Czasami czułam asfalt, albo mydliny, lub jeszcze co gorszego, ale nie chciałam mu robić przykrości, więc potakiwałam gorliwie.

Wtedy Marek zadzierał głowę, żeby dojrzeć niebo nad szczytami kamienic, i szeptał zachwycony:

— Ziemia także na wiosnę zmartwychwstaje... jak Pan Bóg.

Jeżeli wypadła deszcz, Teofil grał ze starszymi chłopcami w domino, Marek przy oknie rysował żołnierzy, śpiących przed pustym Grobem, Adelcia czytała na głos, a ja chodziłam pośród nich, podsuwając to temu, to tamtemu, talerzyk pełen ulubionych przysmaków.

Gdy chłopcy byli w wyższych klasach, dom roził się od gości. Szczególnie Stasia koledzy mieli wilcze gardła: ogromne baby nikły w oczach, szynki nie mogłam nastarczyć, raz nawet ktoś napoczął cukrowego baranka.

Ale nikt tak nie lubił świąt wielkanocnych, jak właśnie Marek. Zwykle przed Palmową Niedzielą pojawiały się pierwsze kotki na wierzbach. Przynosił skądś całe pęki czerwonych, delikatnych gałązek i z nabożeństwem połykał srebrne kulki, na szczęście i na pomyślność wszystkich.

A później — zaczynała się prawdziwa wiosna. Lepkie pąki kasztanów rosły niemal w oczach, i pewnego dnia z pod brunatnej łuski wytryskało pięć zdrowych, jędrnych, odrazu dużych liści.

— Jak one to robia! — wołał z podziwem Marek — Nigdy nie mogę zauważyć, kiedy się pączek otwiera...

W tym roku Święta wypadły bardzo późno. Kasztany dawno mają liście — a ja nie opatrzyłam się, kiedy minęła pierwsza wiosna. Teraz dopiero wiem, że na wiele rzeczy, których inni ludzie nie widzą, trzeba było patrzeć oczami Marka. Ani Tomasz, ani Adelcia, ani tembardziej Teofil nie zaprzatają sobie głowy pytaniami, czy w Kopytowie zakwitły pierwsze narcyzy, albo czy bocianica siedzi na jajach.

To był świat Marka, jego własny, dziwny świat, pełen cudów — i znikł z nim razem.

Dlatego teraz było w domu jeszcze ciszej i puszcziej. Nawet Tomasz sposepniał, nawet Adelka chodziła z kąta w kąt osowiała, twierdząc, że tu jest „niemożliwie” i lepiej byłoby spędzić Wielkanoc w Kopytowie.

— To jedź — rzekł Tomasz — nikt ci przecież nie broni. Ja na takie podróże nie mam czasu.

— Ty nigdy nie masz czasu dla rodziny. Ach! — wybuchnęła nagle — żeby choć Stasia puscili z wojska na ten tydzień!

— „Młodsza siostra brata miała,

Na wojenkę go posłała” — zanucił Tomasz dość fałszywie.

Ale sam poczuł widać, że nie smaczny miał koncept, bo nie dośpiewał nawet: „mija roczek i półtora” — umilkł i spuścił głowę.

To było w pierwszy dzień świąt. Na ulicy cicho, tylko chłopaki od czasu do czasu ciskali hałaśliwe petardy. Nagle serce ścisnęło mi się z trwogi, bo tak, jak widzę w tej chwili własną rękę, maczającą pióro w atramencie — zobaczyłam w kącie pokoju — Stasia. Stał nieruchomo i patrzył na mnie. Raptem począł się chwiać na nogach...

Wiem, że to było przywidzenie. Może w pół minuty, nim odzyskałam mowę, Teofil spytał Tomka:

— Nie pamiętasz, kiedy trzeba wykupić ten weksel?

Staś znikł. Tomasz sięgnął po notes i powiedział „siódmego”. Adelcia nie ruszyła się z miejsca i ciągle skubała firankę. Lecz byłabym przysięgła...

Od tej chwili ciągle myślę o Stasiu. Nie mogę sobie wprost dać rady. Żeby choć list od niego! Nic! Prawda, że Staś wogóle rzadko pisuje.

Jutro wpadnę do Łuczakowej. Wynalazłam dla niej nową robotę. Muszę wpaść bo mi już za Kaziem strasznie tęskno. Jak patrzę na to maleństwo, zapominam o wszystkim, o wszystkim... (d. c. n.)

Z WYSTAW

„Salon Doroczny“ — już sama nazwa kryje obiecujący dreszczyk. O miłą zalatuje dostojnością, powagą, „mistrzem“ jednym i drugim, no i wreszcie długim szeregiem arcydzieł.

Bodaj to prostoduszna wiara w słowo — w nazwę — omen omnipotens! Życie przynosi gorzkie rozczarowania.

Okazuje się, że niezawsze „salon“ odpowiada komnacie wykwintnej, pełnej arystokratycznego smaku, czy choćby tylko pokostu kulturalnego wyższego stopnia.

Czasami „salon“, to jest sobie, poprostu, pokój z pretensjami, ale zato bez gustu, miejsce, w którym bez wielkiego ład i składu nagromadzono wszystko, co wlało pod rękę: autentyczne antyki i bardzo nieudolne naśladownictwa; jeden, czy dwa ładne bibelotki, a po większej części jednak — graty... W dodatku okna oddawna nie otwierane, duszno, powietrze stęchłe, i dużo moli...

Być może, że ta mała parabaza w stosunku do tegorocznego „Salonu“ w „Zachęcie“ jest trochę za ostra. Trudno jednak powiedzieć, byśmy mieli tu do czynienia z salonem bardzo wykwintnym. Un peu de tout. Trochę pstrokata zbieraninka, bez wątpienia upiękzona od czasu do czasu przez jakąś niepokalaną białą plamę śniegu Fałata, czy też żółto-zielone tony jakiegos samotnego dekoracyjnego szkicu Stryjskiej.

Pozatem — pola i stawy, dworki i wnętrza, panie i panowie, „kompozycje“ olejne i akwarele — wszystko już znane, znane do znudzenia, jeszcze jedno powtórzenie i jeszcze jedna edycja „kawalków“,



Ulica Marjensztadt.

F. Cieślowski.



Broniewska Janina

„Immaculata Conceptio Masoviensis“.

które na wystawach „Zachęty“ ogląda się od stu lat... conajmniej.

Nie chodzi tu, oczywiście, o sam fakt powtarzania się jakiegos motywu: Madonna z Dzieciątkiem, albo Ukrzyżowanie były przez ładnych kilka wieków tematem obrazów — i mimo to niezłe jakoś działo się w sztuce za takiego, np. Fra Angelica, czy innego, dajmy na to, Leonarda. Ale nuda, która wieje od ścian „Zachęty“, bezbarwność — mimo nagromadzenia jaskrawych kolorów — wynika z nietwórczego, wewnętrznie nieprzewartościującego ujęcia tych obrazów.

Bezsensowną wprost wydaje się konieczność tłumaczenia, że ażeby malować — niedość na to jeszcze machać sobie pendzlem po płótnie — że trzeba umieć przedewszystkiem patrzeć, a następnie to, co się widzi, dopiero odpowiednio transponować, zaklinać, niejako, w nowe formy, wysławiać nowym językiem: płomiennym językiem barwy i wartką mową linji.

Są, oczywiście, wyjątki. Poza Fałatem, który, jak nikt może na naszym gruncie, mistrzowsko operuje akwarelą — wystawia, np., M. Kotarbiński potret młodego chłopca — mocny w formie i silny w ekspresji. Dwa studja olejne p. Bobińskiej-Paszkowskiej i dwa nieduże obrazki Karnieja ratują honor techniki olejnej. Pastele Axentowicza, mdłe trochę i karmelkowate, mają jednak tę subtelność kolorystyczną, cieszą oko



Portret pani ministrowej Zaleskiej.

Tadeusz Pruszkowski.

mногоścią drżących tonów i półtonów barwnych, które znamionują prawdziwego malarza.

Z pośród rzeźb na plan pierwszy wysuwają się prace p. Wasiewicza. Zwłaszcza mała rzeźba w brązie, przedstawiająca dziecko z piłką, zadziwia doskonałym związaniem, zwięzłym, pełnym przytem ekspresji, skrótem.

Mimo wszystko, smutnaby to była Gwiazdka, gdybyśmy tylko na podstawie „Salonu“ mieli sądzić o naszym życiu malarskim! Na szczęście, jednocześnie odbył się szereg innych wystaw w salonach prywatnych, lub związkowych. Więc w salonie p. Garlińskiego wystawiali pp. Cieślowski junior i Tom. Akwarele z widokami Warszawy, Wilna, Krakowa, Na p. Cieślowskim znać wpływy Skoczylasa, ale jest i pewne wyjście poza szkołę, przejawiające się głównie w poszukiwaniach barwnych.

W „Domu Sztuki“, na Chmielnej, wystawia Skoczylas.

Ten świetny grafik i rysownik ma może trochę za ciężką rękę do akwareli. Skoczylas tak mocno stoi na stanowisku formy, budowy obrazu, że niezawsze udaje mu się grać na lekkich, mglistych tonach, które są sercem akwareli. Wodne farby, ich wiotka konsystencja, ich mgliste, zaledwie uchwytnie odcinanie się od tła obrazu—wymagają całkiem specjalnego podejścia. Wystawiane ostatnio prace Skoczylasa nie dorównują jego grafikom, ale—pełne kultury, — przedstawiają na naszym gruncie wartości istotne.

Wreszcie ewenementem artystycznym stało się otwarcie nowego lokalu wystawowego przez Związek Polskich Artystów-Malarzy. Nowy salon wygląda obiecująco.

Na otwarcie urządzono wystawę prac Tadeusza Pruszkowskiego. Jaką ulgę po pewnych oficjalnych „Salonach“ sprawia dostanie się w sam środek malarskości, w królestwo koloru! Można, oczywiście, mieć takie, czy inne zastrzeżenia, co do pewnych obrazów prof. Pruszkowskiego, można na niektóre patrzeć, jako na prace w części „puszczone“,—ale w każdym razie ma się tu do czynienia niewątpliwie z malarstwem. Pruszkowski patrzy na świat, jako na zjawisko barwne—to czuje się odrazu. Jest zwłaszcza kilka zestawień barwnych, które najbardziej sobie upodobał i z których umie wydobywać niezmiernie dużo i różnolitych efektów. Są to zestawienia czarno-białe, a także prześliczne tony zielone. Do najlepszych należy ów czarno-zielony portret hiszpanki, robiony węglem, albo druga „Hiszpanka“, olejna, o niezmiernie głębokich tonach zielonych. W pejzażach artysty bardzo ciekawe wyniki dają poszukiwania w zakresie różnicowania faktury — w przeciwieństwie do takiej, np., „Zakonnicy“, która jest dziwnie martwa i banalna.



Motyw wileński.

J. Tom.

Z ŻYCIA EKRANU

(Oleodruk czy akwaforta? — Don Juan - sportowiec. — Kult ciała.)



Z Salonu dorocznego w Zachęcie: Juliusz Osterwa w roli Fantazego, miniaturowa Kazimiery Dąbrowskiej.

W każdym razie wychodzi się z wystawy w tem błogiem przeświadczeniu, że było się doprawdy na wystawie obrazów. To się w Warszawie niezbyt często zdarza.

l. j.

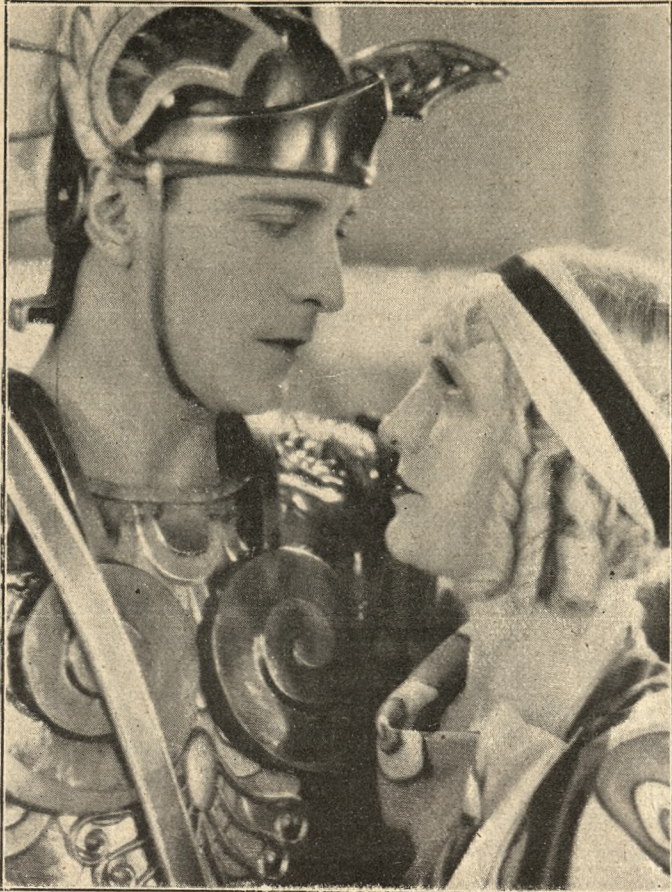


Studjum.

Tadeusz Pruszkowski.

Dążenie do jaknajwiększego upodobnienia obrazu filmowego do natury przy pomocy barw, jak dotychczas, nie osiągnęło celu. Obraz kolorowy ani nie jest bardziej "naturalny", ani nie dostarcza miłszych wrażeń wzrokowych. Raczej dzieje się wprost przeciwnie. Wprawdzie „ostatnie słowo“ w tej dziedzinie nie zostało wypowiedziane: film kolorowy jest jeszcze ciągle w fazie tworzenia się i bardzo być może, że kiedyś dojdzie do takiej doskonałości, iż innych obrazów wogóle nie będzie. Jest to jednak również ryzykowne prorocstwo, jak wszystkie — dotyczące kinematografji. Narazie nie odczuwamy wcale potrzeby barw na ekranie, ani ze względu na t. zw. grę kolorów, ani — tembardziej — na rzekomo większe złudzenie rzeczywistości. Przywykliśmy do tego, że „rzeczywistość filmowa“, w którą wierzymy zależnie od talentu twórców obrazu, jest czarno-biała, i że te dwa kolory mogą mieć olbrzymią skalę odcieni, z których operator-artysta umie stwarzać symfonje wzrokowe o niezwykłym bogactwie. Jeżeli chodzi o nastrojowe działanie barwy, to w dotychczasowych filmach kolorowych panuje tak nużąca monotonia (przeważnie są kolorowane i operują małą ilością barw), że można by — gdyby się sąd swój opierało jedynie na tem — odnieść wrażenie, że barwa w oddziaływaniu na psychikę nie odgrywa żadnej roli. Wątpię, czy naprz. kolor sukni Liljany Gish mógłby wpłynąć na zmniejszenie wrażenia, jakie odnosimy z jej gry. Jeżeli Douglas Fairbanks zaraża nas swą radością życia, temperamentem i brawurą, dzieje się to niezależnie od tego, czy woda, do której skacze, jest zielona, a niebo nad nią — niebieskie. Zdolny reżyser wydobywa „nastój“ przez wybór odpowiedniego tła (pejzażu, lub wnętrza), przez wzajemne ustosunkowanie i grupowanie przedmiotów, przez grę światła i cieni i t.d. Refleksje na temat filmu kolorowego nasunęły mi się właśnie z powodu „Czarnego pirata“, wykonanego nową techniką w „kolorach naturalnych“. O to, że właśnie nic nie przypominało nam natury, nie miałabym pretensji, bo właśnie to, co było do niej najmniej podobne — było najładniejsze: pejzaż nad brzegiem morza — jakieś czerwone skały i piaski, coś jakgdyby ilustracja do bajki. Zato ludzie przypominali... woskowe figury z panopticum: ładująco podobne do „prawdziwych“ ludzi, a jednak pozbawione życia. Kolory zatępiły w nich wszelką indywidualność.

To, co w filmie tym dawało wzrokową przyjemność, byłoby równie piękne bez kolorów, naprz.: galera z wioślarzami, szturm pływaków, rytm i harmonja ruchu, piękno wysportowanego ciała — czy to nie dosyć? Chyba, że tak, skoro są tacy, którzy nawet Don Juana widzą w postaci sportowego rekordzisty.



Maria Corda w roli Heleny, Ricardo Cortez w roli Parysa.

John Barrymore, którego poznaliśmy niedawno w „Bestji morskiej” jako wybitnego tragika, w drugim wyświetlanym u nas filmie p. t. „Wieża miłości” (co za tytuł! — czy nie prościej byłoby „Don Juan?”) może rywalizować prawie z „samym” wielkim Doug’iem, jako fechtmistrz, kawalerzysta i gimnastyk. To też reżyser poświęcił bliższe omawianie jego alkowianych sukcesów dla jego sukcesów sportowych. W te pierwsze i tak łatwo uwierzyć, skoro się patrzy na jego cudny, szlachetny profil, przypominający najdelikatniej rzeźbione kamee. O niezwykłej piękności Barrymore’a mówię nie dlatego, żeby o jego innych zaletach nie dało się nic powiedzieć. Pragnę tylko podkreślić olbrzymi wpływ kina na podniesienie i właściwą ocenę fizycznych wartości człowieka, będących tak długo w zaniedbaniu, podczas gdy „rasowość” psów i koni znajdowała zrozumienie nawet u szerokich mas publiczności. Kino — zwłaszcza kino amerykańskie — pokazując nam najpiękniejsze okazy mężczyzn i kobiet, oźmiłowało nas w kształcie ludzkiego ciała, w piękności linii, doskonałości proporcji, harmonijności ruchu, wyrazistości gestu, sprężystości mięśni, wymowie spojrzenia i poezji uśmiechu.

Może być, że M. J. Wielopolska słusznie twierdzi iż jedną z najsłabszych stron filmów francuskich jest brak pięknych kobiet.

Możemy to skonstatować w ostatnio wyświetlanym filmie Leonce Perret’a p. t. „Szatańska syrena”. Przypominają się tam sytuacje operowe, gdzie ciągle słucha się o piękności i czarze bohaterów i bohaterek, a w postaciach, na które się patrzy, trudno się tego doszukać. To też nic dziwnego, że prawdziwie „szatańska syrena” — że użyję pompatycznego stylu twórców tytułów filmowych — Greta Garbo uwiiodła filmową Warszawę swą ostatnią kreacją („Symfonia zmysłów”). Ta dziwna kobieta rzuciła urok nie tylko na mężczyzn, ale nawet na przedstawicielki swojej płci.

Nie dziwimy się temu. Nie jest to bowiem banalna ekranowa „Wampirzyca”, której „trujący czar” ma działać tylko na mężczyzn. W twarzy Greta Garbo jest coś niepokojącego, zagadkowego, niedopowiedzianego, co sprawia, że chciałoby się patrzeć na nią jaknajdłużej, doznając wrażenia, że może właśnie w następnej chwili zdradzi tajemnicę swej zagadkowej duszy. Znajduje się w tem taką rozkosz, jak we wpatrywaniu się w portrety starych mistrzów: znane, a zawsze jeszcze kryjące coś nowego.

Oto są paradoksy kina. Z jednej strony dążenie do ograniczenia roli człowieka w filmie do minimum (eksperymenty, podjęte w myśl zasady, że aktor, to rekwizyt teatru), z drugiej — „odkrywanie” wszystkich piękności, jakie kryją kształty ludzkie w ruchu i spokoju — z taką samą pasją, z jaką czynili to artyści Odrodzenia.

Stef. H



Z KSIĄŻEK

Dobre książki dla młodzieży. — Dr. Ernest Contère. — „Przygody Świerszcza” — Tow. Wyd. — Warszawa 1927.

Książka ta ani na chwilę nie odchodzi od szablonu tak zwanych, „pouczających” książek dla młodzieży, zamykając naukę przyrody, a raczej informacje o życiu owadów, w szeregu ciekawie opisanych przygód świerszczyka. Nauka podana jest umiejętnie, choć chwilami zdaje się być złączona z całością zbyt wyraźnym szwem.

Autorowi brak jest cokolwiek równowagi w operowaniu naukowym materiałem, który, wepchnięty w cały szereg przydługich monologów, przytłacza fabułę powagą swych wywodów. Niepotrzebnym dysonansem wydaje mi się dodatek: „Od tłumaczki”. Pani Haberkantówna „dokonała” przekładu tego „dziełka” bardzo sumiennie, lecz, niestety, sumiennosc swą po-

sunęła zbyt daleko, stawiając kropkę nad „i“ i odzierając tym sposobem naukowość książki z tego, co najbardziej może do niej przyciągnąć młodzież: z fantazji. „To wszystko nieprawda“ — mówi tłumaczka — a słowo to jest rozpaczliwie trzeźwe, tembardziej, że mimowoli dotyka tego, czego sam autor dokładnie nie sprecyzował: stosunku psyche człowieczej do przeżywań małego świerszczyka.

Na człowieka niema miejsca w tej książce. Jednak podejście autora do tematu jest bardzo „ludzkie“, wskutek tego czytelnik musi się przerzucać z płaszczyzny na płaszczyznę, jeżeli nie chce zamknąć oczu, aby wchłaniać wrażenia zupełnie bezpośrednio. Dzieci przeważnie „zamykają oczy“, czytając wszelkie nieprawdopodobne historie, i dlatego napewno z radością powitają tę książkę, która obok rozrywki da im wiele pożytecznych wiadomości. Z. M.

Wanda Milowicz. *Cwet.* — Nakładem Księgarni Narodowej. Warszawa 1927.

Oto książka „par excellence“ kobieca. Broń Boże! nie w żadnym znaczeniu pogardy, czy litościwego uśmiešku, ale właśnie w znaczeniu jaknajbardziej bezpośredniego odczuwania słów autorki. Szereg impresyj, lub drobnych szkiców, powiązanych mocnymi nićmi z dalekiem życiem przedwojennem na kresach, z krajem, za którym się tęskni w szare, bezbarwne miejskie wieczory, w czterech ścianach nieswojego domu. Tyle się już czytało wyznań i żalów ludzi z kresów, że nie mogę się powstrzymać od pewnego rodzaju — porównania. Chodzi mi o to, że autorka wcale do serca nie brała żalu za dawnym dosytem życia zamożnego domu, za dawnym spokojem sybarytyzmu, jeżdżącego na niewolniczym pokłonie chłopu ukraińskiego i posłuchu dobrze wytresowanej służby. Autorka żal swój powiązała z głęboko sięgającymi korzeniami przywiązania do ziemi, przywiązania, wspartego na tradycji jeszcze 63-ego roku. Ziemia stracona, to część dawnej Polski, istotna, najbogatsza jej część, i to jest przyczyną tych wszystkich słów, z serca płynących, a w tej książce zawartych. I to jest jej największą wartością. Z. M.

Zofja Żurakowska „Skarby“ „Pożegnanie domu“ „Trzy srebrne ptaki“, „Gość z Ameryki“. Dobre książki dla młodzieży. Tow. Wydawnicze. Warszawa.

W ciepłym, życzliwym ujęciu ręki autorki drobna dłoń młodego czytelnika spoczywać może z pełną ufnością i oddaniem. Znajdzie swój świat. Żadnego nabierania w typie książeczek pseudo naukowych, w których Zosie i Tadzia autor wysyła do lasu i ka-

że im zobaczyć lisa tylko poto, aby pouczyć łatwowiernego czytelnika o budowie kończyn i szczegółach lisiego uzębienia.

Ani nie będzie to, słabo przysłonięte treścią, moralizatorstwo — metoda, która święciła chyba swój ostatni triumf w niezapomnianem, tyłoma strumieniami młodych łez oblanem, „Sercu“ Amicisa.

Książki Żurakowskiej zaliczyć możemy do gatunku twórczości, która w ostatnich przedwojennych latach przeniknęła do nas z lekkiej ręki i ciężkiego — nie wiem, czy należycie docenionego — trudu p. Mortkowiczowej w jej „północnych“ przekładach Agot Gjems Solmer, Selmy Lagerloff i Gustawa af Geijerstam.

Mimo pewne niedociągnięcia w kompozycji — specjalnie jaskrawe w „Skarbach“ i „Trzech srebrnych ptakach“ — Żurakowska należy niewątpliwie do szlachetnego klanu pisarzy takich, jak Dąbrowska, Korczak, Szelburg i Porazińska.

W reagowaniu na podaną treść zostawia swoim czytelnikom maximum swobody.

W „Gościu z Ameryki“, ich wolny nieprzymuszony sąd podpisze wyrok na natarczywe wścibstwo i nieznośny snobizm Kazi. Ich to własne, rozgrzane serca poprą niezrozumiałą, na oko, akcję dzieci, ratujących w pożarze cudzą połowę domu. Ich dziecinne, żadne wzrastania w siłę i prężność mięśnie dopomogą w budowaniu mostu. A groteskowe w swej przypadkowości rozczarowanie Marynki, której omyłka losu pozwoliła rozgrzać się ciepłem cudzego gniazda po to, by ją wyrwały z niego oficjalnie sztywne ramiona ciotki — czyż nie obudzi w młodych sercach wdzięczności za darowaną niebem łaskę domu?

To pojęcie gniazda — czujnie przez autorkę stopione z romantyczną stroną heroizmu, pojęcie, które na samym końcu dopiero przesłania nam wgląd i wszere rozrośnięta zjawa ojczyzny — znalazło swój specjalnie mocny wyraz w „Pożegnaniu domu“. Z omawianych tomików ten właśnie posiada najbardziej spoiłą wewnętrzną i zewnętrzną strukturę.

I jeszcze jedno: do istotnych wartości talentu Żurakowskiej należy policzyć szczęśliwy kąt nachylenia do siebie płaszczyzn — nierzadko skłóconych z sobą — często zgoła odmiennych — światów: dorosłych i dziecinnych przeżyć. I jeśli nawet dwa te światy niezawsze — o co tak trudno w życiu — zrównięte są w spólnocie przeżyć — w przekroju twórczych możliwości autorki umieją zdobyć się na śliczny gest porozumienia. W. B.



Kobieta w świecie i w domu

DZIECI POLSKIE STAJĄ DO MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU RYSUNKÓW

Międzynarodowy Związek Pomocy Dzieciom w Genewie, (podaje „Nowa Reforma”) powziął uchwałę zorganizowania Światowego konkursu rysunków dzieci, celem zilustrowania deklaracji praw dziecka, i w tym celu zwrócił się do wszystkich komitetów i stowarzyszeń, należących do Związku (w tej liczbie i do polskiego Komitetu Pomocy Dzieciom), o przeprowadzenie podobnego konkursu w swoim kraju.

Międzynarodowy Związek Pomocy Dzieciom pragnie drogą konkursu na powyższy temat pobudzić swobodną twórczość dziecka, porównać charakter tej twórczości u różnych narodów, a przytem oczywiście, rozpowszchnić hasła opieki społecznej nad dzieckiem. Polski Komitet Pomocy Dzieciom zwraca się więc do wszystkich organizacji nauczycielskich i kierownictw szkół powszechnych i średnich, by poparły jego projekty i przeprowadziły konkursy wśród swych uczniów.

W konkursie mogą brać udział dzieci szkolne do lat 14-tu wszystkich narodowości, zamieszkujących Polskę. Nadesłane prace będą ocenione w poszczególnych grupach narodowościowych przez Sąd Konkursowy P. K. P. D.

Prace nagrodzone zostaną wysłane na konkurs międzynarodowy do Genewy.

Termin nadsyłania prac wyznaczony został na dzień 15 lutego 1928 r.

Po bliższe szczegóły i instrukcje, dotyczące jego przeprowadzenia, należy się zwracać do polskiego Komitetu Pomocy Dzieciom (Warszawa, ul. Jasna 11, 2 piętro, Komisja Konkursu Rysunków).

NOWO-OBRAZY MINISTER PRACY W FINLANDJI

Oto jeszcze jedna prawdziwa bajka...

Pani Sillanpaa, finlandka, otrzymała tekę ministra pracy w swym kraju.

Niezamordowana działaczka społeczna, licząca dziś około lat 60, przeszła długą i ciernistą drogę, zanim wysunięto jej kandydaturę na ministra.

Córka prostego robotnika, cieśli z Tarestlandu, od 12 roku życia pracować musiała, jako robotnica w fabryce tkackiej. Ojciec Marty był bardzo biedny, miał sporo dzieci, i nie mogło być nawet mowy o jakimkolwiek racjonalnym kształceniu ich, tembardziej, że w owych czasach w Finlandji nie było przymusu szkolnego. Dziewczynka jednak zdradzała wyjątkową ochotę do nauki i w fabryce nauczyła się czytać, pisać i rachować. Gdy miała lat 14, przenosi się do fabryki igieł, zarabia więcej, odkłada każdy grosz i po paru latach walki z głodem i rozmaitemi przeciwnościami życia—ureczywistnia swoje marzenie: zainstalowuje się w dużym mieście — w Helsingforsie.

Narazie godzi się przyjąć posadę „panny służącej do wszystkiego” w pierwszym lepszym, zamożniejszym domu, aby móc po ciężkiej pracy dziennej uczęszczać wieczorem na kursa dla dorosłych, na odczyty i wolne wykłady w uniwersytecie.

Dziewczyna posiada wyjątkową pamięć, wrodzoną inteligencję i spryt. W tym okresie życia zdobywa gruntowne wykształcenie; wreszcie po 3 latach rzetelnej pracy w nowopowstałym związku zawodowej służby, staje na jego czołe, jako przewodnicząca,

Stanowisko to staje się fundamentem jej przyszłej kariery. Już w roku 1907 zostaje poraz pierwszy obrana posłem na sejm. Jest z niej fachowa, mądra i rozważna niewiasta. W roku 1917 przechodzi wszystkimi głosami na inspektorę kooperatywy robotniczej.

Żadne palące zagadnienie, związane z życiem rodaków, nie jest obce sercu pani Sillanpaa. Sprawa służby domowej, kwestja robotnicza, opieka nad sierotami i opuszczonymi kobietami, sprawa więzień finlandzkich, walka z prostytutką, żebractwem, a szczególnie z alkoholizmem, — interesują ją przedewszystkiem.

Finlandja zawdzięcza jej w dużej mierze wprowadzenie w życie ustawy o prohibicji. Ona też walczy bez wytchnienia ze szumem wyrobów alkoholowych do kraju.

Pani Sillanpaa należy wogóle do wyjątkowych jednostek. Energiczna, rozumna, uczynna i skromna — jest dziś najpopularniejszą kobietą w Finlandji.

H. S.

KURS STRZELANIA DLA KOBIET

Ze „Strzelca” dowiadujemy się, że Referat Pracy Kobiet, wraz z Sekcją Sportową Rodziny Wojskowej, zorganizował kursa strzelania z broni małokalibrowej dla kobiet.

Ćwiczenia odbywają się na Strzelnicy (Nowy Świat) pod kierunkiem p. Jurjewicza.

Pierwszy taki kurs rozpoczął się w dniu 16 listopada r. b. Nowe uczennice, amatorki tego sportu, będą przyjmowane stopniowo, co parę tygodni.

Na zakończenie każdego kursu, odbędą się zawody strzeleckie dla jego uczestniczek.

H. S.



Miss Sherla Mac Donald 22-letnia córka Mr. Klaudjusza Mac Donalda, jest pierwszą kobietą, której w towarzystwie dwóch mężczyzn udało się wejść na szczyt Kilimandżaro w Afryce.

LISTY, KTÓRE NIE DOCHODZĄ...

Ku nauce nieświadomych, ku pamięci tych, którzy wiedzą...
(Abrégé chronologique prés, Hénault).

O listach mówiłyśmy już nieraz. Czy znamy jednak wszystkie arkana i wszystkie prawa kulturalnej korespondencji?

Proszę nie zarzucać mi przedwcześnie faktu, jakobym się powtarzała w doborze tematów. Nie chcę dziś bowiem mówić, ani o treści, ani o formie listu, jako takiego. Daleką też jestem od chęci śpiewania hymnów pochwalnych na cześć wrodzonego talentu korespondencyjnego, od upajania się haszyszem miłosnych zaklęć, porywającym zmysłem naracyjnym, błyskotliwym humorem,—a także od wylewania łez nad nieudolnością poszczególnych jednostek. Inkaust, który tak nieodwołalnie utrwała na papierze przejawy duszy ludzkiej, umysłu i kultury, zdradliwy inkaust, jaki posłużył za natchnienie sentencji: „Les paroles s'envolent les, écrits restent”—zadziwi się odwrotnie proporcjonalną rolą, jaka mu w tym wypadku przypadnie.

Omawiając zawiłą sprawę listu, bierzemy zwykle pod uwagę listy wysłane i doręczone, a ja będę dzisiaj mówiła właśnie o listach, które nie dochodzą...

Co powoduje nieuchwytność takiego dokumentu? Kto czyta drobiazgowo najbłahsze wiadomości dziennikarskie, powie, że — niesumiennosc wysłanników pocztowych, bowiem kroniki pism codziennych notowały w bieżącym roku kilka zadziwiających faktów, jakie pouczyły nas o tem, że w czasie gorących letnich miesięcy nawet listy propagowały entuzjastycznie krzyk ostatniej chwili — higienę. Wyłowiono, podobno, z nurtów wartkiej rzeki pokazną ilość tych wysłanników doli i niedoli, tajemniczych źródeł łez i uśmiechów, które, dzięki dobrotliwej ręce fantastycznego listonosza, powędrowały do orzeźwiającej kąpieli, zamiast znaleźć się po przeczytaniu w mrocznych archiwach biur handlowych, w jakiejś wonnej skrytce — skarbnicy wspomnień i pamiątek, lub po prostu — w koszu.

Ale uderzmy się w piersi i przyznajmy szczerze do winy. Naszych listów, tych, które nie doszły rąk adresata, wśród nich nie było. Ścisłość w wygłaszaniu sądów każe nawet zastanowić się poważnie nad tem, czy owe wykąpane listy—dowód niesumiennej opieszałości ich roznosiciela—istniały wogóle? Może pogłoskę należy podciągnąć pod znaną aż nadto dobrze w ostatnich czasach rubrykę wiadomości dziennikarskich, przeznaczonych zgóry do odwołania, a drukowanych jedynie celem zapełnienia szpalt i ubawienia czytelnika? Nie wiem. Dosyć, że ja sama, mając na sumieniu takie, które nie doszły, nie pójde ich szukać w nurtach swawolnej Wisły, Brdy, czy

Warty, a poprostu znajdę je zawsze blisko, bliźutko: znajdę w tajemnym, a wiecznie krwawiącym poczuciu własnej opieszałości.

Reguły tak zwanego *savoir vivre*'u i etyki ludzkiej wogóle—tak towarzyskiej, jak i handlowej—nie pozwalają zostawić żadnego listu bez odpowiedzi. Praktyka wykazuje jednak nieznajomość, czy też bagatelizowanie tych reguł, graniczące niejednokrotnie z impertynencją. Rozmyślne, czy przypadkowe, takie zbagatelizowanie odpowiedzi na list otrzymany jest dowodem złego wychowania i braku kultury, które nawet w daleko idącej *swobodzie* powojennej ery nie znajdują dostatecznego usprawiedliwienia.

W ostatnich czasach bakcyl nieodpowiadania na listy krąży w powietrzu uporczywie. Rozrasta się na podatnym terenie indywidualności ludzkiej, która tak chętnie przyswaja sobie prawo deptania wszystkiego, co łączy się bezpośrednio z minimalnym choćby wysiłkiem, z pogwałceniem praw nowego typu człowieka *wolnego*, negującego zapamiętałe wszelkie krępujące dorobki wiekowej kultury.

Na pierwszy rzut oka sprawa niedociągnięć w wychowaniu jednostek może się wydawać rzeczą błahą. Młode pokolenie, które dorastało w krwawych łunach pożogi wojennej, łatwo znajdzie obronę dla wszystkich swoich usterek, jeżeli przeciwstawi je wielkim tragedjom i ich wiekopomnym skutkom. Jednak życie upomina się o swoje prawa. Po latach wojny przychodzą lata pokoju, a te są erą odbudowy i uporczywego dążenia wzwyż na każdym kroku. Społeczeństwo składa się nietylko z ludzi, którzy są zdolni dokonać dzieł wiekopomnych: składa się — niczem piaski pustynne — z maleńkich ziarenek, a niemi jesteśmy my — od najmniejszych i najmniej znacznych do tych, którzy rozgłaszają imię ojczyzny po świecie. O cywilizacji i kulturze narodu nie zaświadcza jednak nigdy jednostki. Wyjaskrawią ją, podkreślą,—ale stworzyć jej, zbudować na podstawach trwałych nie będą wstanie, jeżeli wszyscy w swoim zakresie nie pojmiemy należycie, że to wielkie dzieło jest dziełem wspólnym.

Czy istnieje realny związek pomiędzy nagłówkiem mojego artykułu, a szumnymi słowami ostatniego okresu? Co mają wspólnego „listy, które nie dochodzą” z jego treścią? Napozór—nic, a jednak uznając, że kultura narodu wiąże się nierozzerwalną nicią z kulturą jednostek, musimy dojść do nienaruszalnego wniosku, że każdy i każda z nas ma obowiązek osiąść najwyższy jej stopień, ze wszystkimi subtelnościami. Człowiek prawdziwie, podstawowo dobrze wychowany, nie powinien dzisiaj być przynależnością jakiejś jednej uprzywilejowanej sfery, przeciwnie: musi być składnikiem sfer wszelkich. Jeżeli *równouprawnienie* jest hasłem dwudziestego stulecia, niechże będzie zrozumiane i wykonane lojalnie, niech żąda, ale niech i daje. Uogólnienie, nie uznające skali, graniczyłoby tutaj łatwo

z absurdem. Inne przepisy obowiązują wytwornego dyplomata, reprezentującego swój kraj i swój naród, inne—światową damę, a jeszcze inne—cichą, skromną pracownicę, lub robotnika. Wszystkie jednak mają wspólnie podłoże: uprzejmą grzeczność, lojalność w ustosunkowaniu się do innych i—niezależnie od stanowiska, jakie zajęto wobec nas—przyzwoite wywiązanie się z obowiązków, do których się poczuwamy.

Sposób załatwiania korespondencji jest niezapreczenie wyraźnym dokumentem skali danej jednostki. Mniej, lub więcej zbliżona do prototypu doskonałości, zależnie od wrodzonych, czy nabytych uzdolnień, musi zawsze pozostać w zgodzie z elementarnymi przepisami grzeczności, do których należy w pierwszym rzędzie niezwłoczne odpowiadanie na otrzymane listy. Nawet niemiły, niepożądany list wymaga takowej. Inna rzecz, jakie odpowiedzi tej damy cechy: zachęcające, czy też odgraniczające nas skutecznie—przez pewien nieuchwytny odcień, jaki wyczuć łatwo, odcień, który, nie raniąc niczyjej miłości własnej, wytrąci na długi czas pióro z ręki i odejmie chęć do dalszej korespondencji osobie, z którą nie pragniemy podtrzymywać stosunków.

Człowiek, prawdziwie i starannie przygotowany do życia, wie o tem, że nic tak boleśnie nie rani, jak właśnie zadrażnienie czyjejs miłości własnej, a brak odpowiedzi na list, przez nas napisany, nosi w sobie zawsze zarodek zlekceważenia, jest pewnego rodzaju policzkiem moralnym, który przeboleć nie tak łatwo.

Jeżeli dążymy dzisiaj wszyscy do zewnętrznych przejawów kultury i cywilizacji, nie zatrzymujmy się w pół drogi. Nie dosyć jest jeść poprawnie, ubierać się schludnie i estetycznie, dbać o pewien poziom życia codziennego, mieszkać przyzwoicie i wyrażać się prawidłowo; są to wprawdzie rzeczy pierwszej wagi, ale rzeczy elementarne, łatwe, przystępne, obowiązujące w dzisiejszym ustroju społecznym każdego—jest to przymus szkolny. To wyższe wykształcenie, wykształcenie, jakie ująć można wyrażeniem „kultura ducha“, nada dopiero zewnętrznemu polorowi głębką treść i urok nieprzemijający.

W rubryce umiejętności, jakie każdy z domu wynieść powinien, musi być pewne wygimnastykowanie korespondencyjne. Prócz tego „jak“, musimy jeszcze uczyć nasze dzieci „kiedy“ pisać należy. Niech wiedzą, że list, wysłany w porę, list—ten wyraz życzliwej pamięci, to sojusznik nieraz bardzo poważny i łącznik nierozzerwalny. Są okoliczności smutne, czy radosne, w których nie można pozostać na stronie. Brakiem czasu tłumaczyć się nie wolno. Skreślenie kilku słów, nawet dla najbardziej zapracowanych, jest rzeczą dostępną i musi być wykonalną. Niech zatem żadna z nas, a wślad za nami—żadne z naszych dzieci nie rumieni się w przyszłości, czytając o listach, które nie dochodzą... W. D.

ŻYCZENIA

Nowy Rok—jeszcze jeden—przywodzi nam na myśl dawne zwyczaje, dawny ruch, tysiące wizyt, składanych przez znajomych panów paniom, przyjmującym w domu noworoczne życzenia. Tysiące sanek, uwijających się, krzyżujących po białym śniegiem przysypanych ulicach miasta, napełniając je wesoło rozbrzmiewającym dźwiękiem dzwoneczków. A dziś—wizyt nikt nie składa, bo na nie szkoda czasu; sanki—jeżeli nawet ukażą się na mieście, wywabione spadłym w nocy śniegiem,—niedługo, niestety, cieszyć będą swym brzękiem uszczęśliwionego dorożkacza, że choć na trochę „odstawi“ przekłete samochodziska! Nie ciesz się zbyt, dryndziarzu, ze swojego panowania! trwać ono będzie dopóty, dopóki miotła „pana dozorczy“ nie zmiecie białego śniegu w duże, bynajmniej nie białe stożki, któremi obrzeży chodnik, zostawiając na ulicy tyle tylko śniegu, aby pierwszy, cieplejszy promień słońca zamienił go w czarne, lepkie błoto.

Nie było niegdyś weselszego dnia, niż pierwszy dzień roku. Ludziska—czy to w wielkim, czy w małym świecie—winszowali sobie ze wzruszeniem, że ten—zły—już poszedł, że skończony jeszcze jeden szary rok niewoli zbliża nas do chwili wyzwolenia z niej, bo w sprawiedliwość Bożą każdy wierzył, każdy oczekiwał jej z utęsknieniem.

Dlaczego więc, gdy po tylu latach mąk i cierpień uzyskaliśmy wymarzony cel, radość znikła z serc naszych? Skąd ten pesymizm, zniechęcenie, zawiść? Czyż nie jesteśmy nareszcie u siebie? Czyż nie dla siebie mamy szerokie pole do twórczej pracy? Czyż upadniemy, złamani przeżytemi mękami i, przepłynawszy ocean gorzycy, zatoniemy u brzegu? Czyż śnieżny całun zaściełający pola, przysypał i serca nasze, mroząc je doszczętnie? Nie dopuśćmy do tego! obudźmy się z przykrego letargu! obudźmy się do pracy, do czynu, do wiary, że w naszych rękach nietylko nasza przyszłość, ale i przyszłość naszego kraju leży,—do wielkiej, świętej miłości, mtaki, poświęcenia!

W tym pierwszym dniu roku zapomnijmy o złych uczuciach, które nas dzielą, a złączeni jednością, żyjemy poto, aby budować, a nie burzyć—żeby łączyć, a nie rozdzielać. Pamiętajmy, że w rękach naszych leży przyszłość Narodu, że będzie on takim, jakim my go urobimy, my—kobiety—przewodniczki pierwszych kroków, pierwszych myśli, pierwszych uczuć mężczyzny. A więc, wgóre serca! i z wiarą w naszą moc niezwalczoną, z wiarą w przyszłość, a przedewszystkiem z wiarą w Chrystusową zasadę: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego“—idźmy w życie!

To są moje dla Was, Czytelniczki, życzenie noworoczne. J. S.



COŚNIECOŚ O NARCIARSTWIE

I. SPRZĘT I UBIÓR NARCIARSKI

W narciarstwie, jak zresztą w każdym innym sporcie, prócz zapała i dobrych chęci potrzeba nam najprzeróżniejszych rzeczy, zwanych sprzętem, a w tym wypadku przedewszystkiem—nart. Otóż narty składają się z płozy t. j. deski, i więźby, łączącej z nią buty. Długość desek zależy od wzrostu narciarza i wynosi tyle, co człowiek z wyciągniętą ręką po dłoń. Kupując narty, musimy zwrócić baczną uwagę na słoje drzewa, gdyż od ich ułożenia przedewszystkiem zależy wytrzymałość i giętkość nart. Słoje winny iść równolegle do powierzchni ślizgowej; unikać należy słoji zadzierzystych, powodujących pęknięcie deski. Musimy również zwrócić uwagę na wygięcie, jak również na giętkość deski; najlepiej więc będzie, jeśli, kupując narty, weźmiemy ze sobą starego narciarza, który się zna na tych wszystkich subtelnościach. — Więżby, albo inaczej uprząż, czy też wiązania, bywają najprzeróżniejszego typu; najpraktyczniejsze i najbardziej u nas stosowane są t. zw. Huitfeldy. Więżba ta składa się z metalowych szcęk (inaczej toki), przez które przeciągnięty jest rzemień napalcowy i okolny, obejmujący but wzdłuż podeszwy, a trzymający się w specjalnym rowku na obcasie. W rzemieniu tym znajduje się klamra, przez której zaciągnięcie dopasowujemy ostatecznie uprząż do buta. Istnieje cały szereg ulepszeń, rzemyczków dodatkowych i t. p., których tu jednak opisywać nie będę. Uprząż ta szybko się nakłada i zdejmuje, jest przytem łatwa do naprawy, co stanowi ogromną zaletę na wszelkiego rodzaju wycieczkach. Prócz tej, używamy jeszcze uprząży długorzemieennej, która jest najbardziej zbliżona do dawnej lapońskiej, oraz więżby Bilgerego. Ta ostatnia jest tem dogodna, że nie wymaga specjalnego obuwia narciarskiego, jest jednak o wiele cięższa i trudniejsza do naprawy, ponieważ w skład jej wchodzi sprężyna, i nakłada się o wiele dłużej, co jest kłopotliwe, szczególnie wtedy, gdy musimy nałożyć, lub zdjąć narty w niedogodnym miejscu, np. gdzieś na zboczu.

Pod uprzążą przybijamy do deski płytki metalowe, albo celulooidowe, które zapobiegają gromadzeniu się śniegu między butem, a nartą. Najlepsze deski są z drzewa tukorowego, które rośnie w Ameryce; z krajowych gatunków najlepiej nadaje się do wyrobu nart jesion, będąc lekkim i giętkim.

Następną częścią naszego ekwipunku będą kijki — są one zakończone u góry pętlą do trzymania, u dołu okute i zaopatrzone w talerzyki, niepozwalające na zapadanie się w śnieg. Talerzyki bywają metalowe lub trzcinowe; te ostatnie, chociaż mniej trwałe, są miłsze w użyciu: nie wydają, bowiem, niemiłego hałasu, jak metalowe. Kijki winny sięgać

po pierś i być możliwie lekkie, są więc przeważnie robione z drzewa pieprzowego lub bambusu. Z krajowych—godnemi polecenia są leszczynowe, gdyż są stosunkowo lekkie i wytrzymałością swą przewyższają inne.

Zkolei przejdziemy teraz do ubioru, którego najważniejszą częścią są buty. But narciarski, sporządzony z podwójnej miękkiej i nieprzemakalnej skóry, ma jaknajmniej szwów, aby zapobiec przedostawaniu się wilgoci do środka; w tym też celu jest zaopatrzone przy sznurowaniu mieszkciem. Musi być tak obszerny, aby po nałożeniu 2 par grubych skarpetek nie odczuwać nigdzie ucisku i móc swobodnie poruszać palcami, co umożliwi normalny obieg krwi i zapobiega marznięciu kończyn. Chcąc ochronić podeszwę, w miejscu, gdzie się styka ze szcękami, dajemy metalowe okucie. Skarpetki najlepsze są z wielbłądziej sierści, lub nieodtłuszczonej wełny. Spodnie, najczęściej granatowe, najwygodniejsze są t. zw. norweskie, to jest do kostek, z sukna lub innego, możliwie gładkiego materiału. Połączenie buta ze spodniami uszczelniamy owijaczem, lub t. zw. pieksem który jest niczem innym, jak kolorową krajką. Wywijanie skarpetek nie jest dobre, gdyż sprzyja dostawaniu się śniegu do butów. Ogólnie przyjętą jest już obecnie w stroju narciarskim koszula flanelowa, nałożona wprost na ciało, zastępująca znakomicie wełnianą. Jest miła w noszeniu, wysychając, nie ziębi, jak lniana, czy też płócienna, a możemy wybrać ładny kolor, w którym nam będzie do twarzy. Radzę tylko unikać kolorów, zmieniających się pod wpływem promieni słonecznych. W dniu zimne nakładamy na koszulę kurtkę z tegoż materiału, co spodnie, o podwójnym zapięciu, aby zapobiec wciskaniu się śniegu tam, gdzie nie trzeba. Na wycieczki w dzień wietrzne używamy t. zw. wiatrówki, czy też inaczej—skafandru z nieprzemakalnego materiału. Na boisko używanie wiatrówek, zarówno jak spodni nieprzemakalnych, jest niewskazane, ze względu na ich małą przewiewność.

Do okrycia głowy dobra jest czapka norweska, o specjalnym kroju: jednak obyć się bez niej możemy, używając zwykłego beretu francuskiego. W dni słoneczne i ciepłe najlepiej jest mieć tylko pończoszkę jedwabną, która dostatecznie chroni od słońca, a jest przewiewna, więc nie za ciepła.

Rękawice narciarskie mają tylko jeden palec i są zrobione z brezentu, lub nieprzemakalnego materiału. W dzień mroźne wkładamy pod nie wełniane; najpraktyczniej jest zrobić samej półsłupkami lub na drutach rękawice o jednym palcu, które są cieplejsze i trwalsze od kupnych; możemy je przytem zakończyć kolorowym szlakiem, co doda uroku i barwności naszemu strojowi. Szalik, aczkolwiek niekonieczny, jest jednak często przydatny; powinien być dostatecznie długi, by można było wetknąć końce za pasek, aby przy jeździe nie przeszkadzały.

W dnie słoneczne, szczególnie na wiosnę godnymi poleceniami są okulary z ciemnego szkła, chroniące oczy od promieni ultrafioletowych, odbijających się od śniegu, które wywołać mogą chorobę oczu o przykrych objawach. Dobrze jest również natrzeć twarz wazeliną, aby uchronić skórę od nadmiernego opalenia, które bywa bardzo bolesne.

W stroju narciarskim, jak zresztą przy każdym sporcie, którego nieodzownym warunkiem jest śnieg, unikać będziemy materiałów włochatych, a przede wszystkim swetrów, niczem nie osłoniętych. Dlaczego?

Oto, poprostu, dlatego, że śnieg czepia się uporczywie włosków, i po parokrotnym upadku, którego nie sposób uniknąć, szczególnie przy nauce, wyglądamy, jak bałwan ze śniegu,—a chyba nikt nie ma ochoty upodabniać się do tej, zresztą skądinąd miłej, postaci. Pozatem przy wejściu do ciepłego pomieszczenia śnieg taje i, wsiąkając w materiał, czy też sweter, czyni go nie do użytku.

Rzeczą ważną jest przechowywanie i konserwowanie sprzętu tak, aby się możliwie nie niszczył i służył nam jak najdłużej. W tym też celu narty zaraz po kupieniu impregnujemy, to znaczy, napuszczamy na gorąco olejem lnianym. Gdy drzewo już więcej oleju nie chłonie, napuszczamy je znów na ciepło t. zw. tarem, czy też poprostu dziegiem, tak długo, aż utworzy się na powierzchni lekka powłoka, twardniejąca na zimnie. Aby zabezpieczyć narty od zdzierania się przy jeździe, oraz uczynić powierzchnię deski możliwie śliską, używamy smarów. Mamy ich niezliczoną ilość gatunków, a dzielimy zasadniczo na smary, które pomagają przy podchodzeniu pod górę, i takie, które pomagają przy zjeździe. Każdy narciarz ma swoje tajemne sposoby smarowania nart, oraz kolejność używania smarów, i niejeden z zawodników twierdzi, iż wygrał bieg, dzięki umiejętnemu smarowaniu. Ogólnie przyjętą zasadą jest stosowanie smarów zjazdowych na ciepło: wcieramy smar dłonią, bądź też szerokim korkiem, aż nie będzie grudek. Smary do podchodzenia, t. zw. lepniaki, smarujemy na zimno, zostawiając grudki pod więźbą i na końcach nart.

Gdy narty nie są w użyciu, powinny być rozpięte. W tym celu między narty, zwrócone do siebie powierzchnią ślizgową, wkładamy pod więźbę klocek 3 do 5 cm. szeroki, dzioby nart rozstawiamy przy pomocy listewki 20 — 25 cm. długiej, ściągając jednocześnie rzemieniem 10 cm. powyżej końca nart, oraz w miejscu, gdzie się dzioby rozchylają. Są zresztą do tego specjalne prawidła. Gdy przyjeżdżamy do schroniska, stawiamy zawsze narty dziobami wdół, aby możliwie mało chłoneły wilgoci, która po nich spływa. W czasie odpoczynku na śniegu robimy stojaki z kijków, o które opieramy narty.

Rzemienie przy więźbach, jak również pętlice kijków napuszczamy tłuszczem (można olejem rycy-

nowym, lub tranem), aby nie twardniały na zimnie. Buty smarujemy niemal po każdym użyciu. Mamy i tu cały szereg preparatów, przeważnie przetworów tranowych; można używać po prostu tranu. Pamiętajmy jednak, iż nadmierne smarowanie szwów powoduje gnienie nitek.

(d. c. n.)

POKAZ ROBÓT KOBIECYCH U ZIEMIANEK

Pokaz robót kobiecych w lokalu Ziemianek nie daje dokładnego pojęcia o całości kształcie pracy oświatowej, prowadzonej przez to najbardziej zasłużone stowarzyszenie kobiece na wsi, między ludem. W niedużych trzech salkach pokazano nam tylko roboty ręczne niektórych szkół, kilku kółek gospodyń wiejskich i kilku stowarzyszeń pokrewnych, pracujących na polu oświatowym, lub filantropijnem już w mieście, a nie na wsi.



Wystawa prac kobiecych, urządzona przez Stow. Zjednoczonych Ziemianek.
Ornaty



Wystawa prac łąbiecych, urządzona przez Stow. Zjednoczonych Ziemianek.
Serwety i serwetki

Najciekawszych prac ziemianek: ich kursów gotowania, gospodarstwa domowego, hodowli drobiu, szycia bielizny i ubrań — tych kursów ruchomych, rozrzuconych po całym kraju, — pokaz wcale nie uwzględnia.

To, co wystawiono, jest jednak bardzo godne widzenia. Przedewszystkiem więc środki pomocnicze do rozwijania dzieci najdrobniejszych w ochronach. Śliczne, prawdziwie artystycznie wykonane, pajęczce wycinanki łowickie, o subtelnym, pastelowych barwach. Kilimy i pasiaki szkoły w Mirosławiu, ludowe hafty kolorowe szkoły w Puławach, hafty białe Rzezyckiego koła gospodyń, i płótna domowe, i inne tkaniny lniane Kujawskiego koła gospodyń, śliczne hafty szkoły w Marysinie i całe szeregi wyrobów innych szkół, rozsianych po całym kraju.

Ze stowarzyszeń o celach pokrewnych śliczną bielizną kobiecą wystawiła Sala Zajęć Koła Pracy Kobiet; praktyczne ubranka i trykotaże, jako też lalki nietłukące się. Towarzystwo świętego Wincentego à Paulo, — tkaniny ręczne, bez specjalnego warsztatu wykonywane, a raczej już gotowe swetry, kamizelki, szale i szaliki z tych tkanin. Towarzystwo Pomocy

Ofiarom Wojny, a także inne, których wyliczyć nie sposób.

Na specjalną wzmiankę zasługują tkaniny z barwionego lnu Koła Gospodyń Nowogródzkich: tanie, mocne i mogące znaleźć szerokie zastosowanie w skromnych umeblowaniach doby powojennej, jako pokrycie ścian, chodniki, dywaniki, przykrycia na łóżka, stoły, ławy. Są to wyroby w Kongresówce dotąd nieznanne. Na targach lwowskich tej jesieni były wprost rozchwytywane.

Ponieważ Ziemianki pośredniczą swoim stowarzyszonym w zbycie produktów ich gospodarstwa, więc i na pokazie poczesne miejsce zajmuje stoisko z konfiturami, kompotami, miodem, wspaniałymi piernikami, ciastkami i stryclami domowymi, — wszystko to sprzedaje się stale w ich sklepie pod firmą „Nasz Sklep“ przy ulicy Czackiego. Tuż obok śliczne marmelady, sery owocowe,

owoce smażone i inne przysmaki wystawiła pani Chrostowska z Gołynia.

Jedną z głównych atrakcyj pokazu są wyroby artystyczne stowarzyszenia „Ars“, stanowiącego też oddział Związku Ziemianek. Hafty pań Zielińskiej i Pułaskiej (śliczna poduszka ścięciem Veneto Umbro), wyroby ze skóry (oprawy książek) pani Zielińskiej, batiki pań Mirowskiej i Henneberżanki, porcelana malowana pań Glińczyny i Okęckiej, hafty pani Lutosławskiej (cudna teka o pastelowych barwach), abażurki różne, pudełka batikowane, poduszki i poduszcзки — zapełniają całą trzecią salę.

W środkowej sali, oprócz wyrobów zakładów dobroczynnych, mamy ładne kołdry i bieliznę pościelową firmy prywatnej; szale, tak dzisiaj modne, hafty jedwabne, nie ustępujące gobelinom (portret Kościuszki), ornat roboty pań Glińczyny, hafty artystyczne pań Bolechowskiej i Garbolewskiej.

Nie sposób zapamiętać wszystkich eksponatów, a tembardziej — wszystkich nazwisk. Miejsca jest niemało, eksponaty piętrzą się pod sam sufit. Są przeważnie ładne i pochlebnie świadczą o guście i mrówczej iście pracowitości ich wykonawczyń. Pani Elżbieta,

OD REDAKCJI

Aby zapewnić Czytelniczkom naszym artykuły najpoważniejszych piór lekarskich i fachowych z dziedziny zdrowia fizycznego i racjonalnej kosmetyki, które niewątpliwie wchodzić w zakres najszczerzych zainteresowań każdej nowoczesnej kobiety — weszliśmy w porozumienie z Redakcją miesięcznika „Kultura Ciała“ i dodawać będziemy do „Bluszczu“ BEZPŁATNIE RAZ NA MIESIĄC zeszyt tego pisma zamiast dodatku mód i robót. „Kultura Ciała“ dołączana będzie do trzeciego numeru w każdym miesiącu; w innych numerach znajdą Czytelniczki, jak dawniej, dodatek „Mody i roboty“.

W NOC NOWOROCZNĄ

Każdy człowiek pod niektórymi względami zawsze pozostaje wielkiem dzieckiem i wierzy, ślepo wierzy, że pewne dni roku, pewne daty mają własność darzenia czemś nowem, lepszem od tego, co dotąd było. Szczególniej od dnia pierwszego każdego Roku Nowego czekamy czegoś nadzwyczajnego: jakiegoś zwrotu ku lepszemu, jakiejś zmiany losu. I jeszcze jeden przesąd, też dziecinny, to ten, że w jaki sposób nowy rok spotkamy, w taki nam się życie przez rok cały ułoży. Stąd chęć koniecznej zabawy, wesołości, spędzenia nocy w atmosferze użycia, zbytku, a przynajmniej — zwykłej przyjemności. Oczywiście, inaczej tę przyjemność rozumie pan Nowobogacki, którego ideałem jest upić się w najdroższej i najmodniejszej knajpie przy dźwiękach Jazz-bandu; inaczej — panna Zuzia z masarni, której po wieczorze, spędzonym w kinie, wystarczy czysta, sznycel i piwo przy głośniku radja, jednak nie inaczej, jak w restauracyjce, — i tu i tam jednak obowiązują tańce.

Wspaniałe przyjęcia noworoczne organizują dla swoich członków wielkie resursy stołeczne. Tu zabawa nosi cechy wysoce kulturalne: dobra orkiestra, elegancka sala, dobrane towarzystwo, wykwinna kolacja, nieunikniony szampan z uderzeniem północy — zresztą — shimmi i charleston, tak samo jak i u tych o mniej wybrednych gustach — bo żyjemy w czasach zrównania stanów, a co zatem idzie, i gustów. Foxtrotują i tangują panie i panowie z upper ten'u, i nieco może gorzej, lecz z większym jeszcze zapalem foxtrotują i charlestonują ich Zuzie i Jagusie z ordynansami sąsiadów-kapitanów i z pomocnikami stróżów — przepraszam, dozorców domowych; tu i tam dla podniety popija się trochę, lub dużo: czy szampana, czy mocnej z kroplami — to już detal.

Są jednak ludzie, którzy z tą samą naiwną wiarą, że jak spędzą noc noworoczną, tak samo im się życie przez cały rok ułoży, — chcą tę noc właśnie spędzić w gronie rodziny i przyjaciół, w gronie tych wszystkich, których kochają i z którymi radziby i dalej jaknajczęściej przestawać, widywać się. Po wojnie jakoś ludzie nie mają odwagi urządzać liczniejszych zebrań: jeszcze popołudniowa kawka, jakiś dancing od 5 do 9, najdalej do 10-ej... ale przyjęcia z kolacją każdy się boi i uważa takie zebranie za szalony zbytek, na który sobie tylko ludzie bardzo bogaci pozwolić mogą. Na to się składa kilka przyczyn, — najważniejsza zaś jest ta, że wszyscy nie umiemy żyć według naszych środków, tylko koniecznie chcemy się stosować do stopy życiowej najzamożniejszych z naszych krewnych, znajomych, przyjaciół i t. p. Jeżeli X-owie, którzy mogą wydawać pięć tysięcy miesięcznie, dali na kolację łososia, kuropaty i brzoskwińowe lody, — to Y-owie, którzy rozpo-

ządzają tylko jednym tysiącem, jeśli są nierozsądni dają to samo i leżą w długi, lub jeśli są, lub uważają siebie za rozsądnych, — zamiast dać sandacza, polędwicę i kompot, — nie urządzają u siebie żadnych przyjęć, albo zapraszają znajomych do restauracji i wydają trzy razy tyle, coby na lepsze przyjęcie w domu wydali.

Za szczególnie drogie są uważane trunki; tymczasem przy powszechnem teraz użyciu win owocowych, dobry kruszon, — w Wielko i Małopolsce z niemiecka bowlą zwany, — nie jest wcale kosztowny, a umiejętnie przyrządzony, smakuje o wiele lepiej od marnego szampana. O jednym tylko wszystkie gospodynie i gospodarze powinni pamiętać, (a przyrządzanie kruszonu w wielu domach jest przywilejem panów, — nie dowierzających smakowi kobiecemu): — jaknajmniej cukru i sporo alkoholu. Jeżeli nie stać nas na dobry koniak, to poza owocami i jakimś aromatycznym likierem, lepiej dodajmy czystego spirytusu. Z likierów najlepsze maraschino i abrykotina, lecz można użyć i curaçao, pomarańczowego, nawet od biedy, cherry-brandy; tylko, broń Boże! nic, w czego skład wchodzi dzięgiel, a zatem ani benedyktyнки, ani chartreusy, ani żadnych poznańskich, ani lwowskich ich imitacyj; z owoców: ananas, pomarańcze, brzoskwinie, w braku ich — truskawki lub renklody z Weck'a, a nawet zwyczajna cytryna, — tylko w ostatnim wypadku nieco więcej cukru. Jeśli przed północą damy kolację, składającą się z jakiejś zimnej ryby, rozbefu na gorąco, czarnej kawy i bakali, które i tak zawsze w czasie Świąt są w domu, a o północy taki kruszon, i obliczymy dokładnie koszt takiego przyjęcia, to przekonamy się, że na 10—12 osób miłych przyjaciół wydaliśmy mniej, niżby wyniosła na dwoje część kosztów kolacji w restauracji nie raz w mniej dobranem gronie. Ktoby chciał dla podniesienia nastroju i humorów przyrządzić napój mocniejszy, mogę tu się pochwalić receptą na prawdziwą „żonkę“, u nas mało znaną, ale która reemigrantom z dawnej Rosji — a takich przecież mamy tysiące — niejedną miłą przypomni chwilę.

Do wazy, zwykłej wazy do zupy, — chociaż tam na Wschodzie używano do tego wazy srebrnej lub platerowanej, — wlewamy trzy butelki wina, typu reńskiego — mówię: typu, bo myślę o winie krajowem. Do niego się wrzuca ze dwie pokrajane w plastry pomarańcze i wyciska sok z paru cytryn. O brzegi wazy opiera się trzy noże, przeplatając ich ostrza po środku w taki sposób, aby uformowały mocną podstawę. Na tej podstawie kładzie się kawał cukru, wagi mn. w. $1\frac{1}{2}$ f., czyli 60 dk. koniecznie od głowy, (są już w handlu głowy cukru, należy tylko naprzód o takim kawałku pomyśleć); wylewa się nań całą butelkę rumu, lub konjaku i zapala. Niebieski płomień ogarnia cukier, (można światła zgasić, a nastrój będzie nadzwyczajny!) który powoli zaczyna się topić i kroplami spada do wina. Cukier coraz to ciemniejszy,

o zapachu karmelu, cały sływa do wazy, płomień gaśnie. Wtedy gorący trunek nalewamy łyżką wazową do szklaneczek i pijemy z prawdziwym smakiem Nieprzyjaciele tego, co egzotyczne, a raczej wrogowie „naleciałości ze Wschodu“ wolą zastąpić „żżonkę“ „glühweinem“, jakgdyby ten znowu nie był „naleciałością z Zachodu“. Co kto woli — mogę i o nim słów parę powiedzieć. Więc wino czerwone — może również być krajowe, gdyż i francuskie z takich samych czarnych jagód się robi, — do którego się wlewa na każdą butelkę szklanę wody, zagotowuje się z korzeniami: cynamonem, goździkami, gałką lub kwiatem muszkatołowym, imbirem i paru ziarnkami ziele; słodzi do smaku — jednak nie zanadto. Po odstawieniu od ognia dolewa się na butelkę wina — cztery średnie kieliszki (około szklanki) konjaku, rumu, lub araku i podaje glühwein gorący.

Na wsi, po przejechaniu kilkunastu kilometrów sanna, — żadne glühweiny, ani żżonki nie dadzą się porównać z litewskim krupnikiem. Wobec tego, jednak że Litwa, jak mówią, jest z nami w stanie wojny, uważam, że podawanie przepisu na taki narodowy litewski trunek byłoby nietaktem dyplomatycznym, i zachowam go na czasy bardziej pokojowe.

Dzisiaj tylko dodam, że tam, za Poniewieżem, pod Szawlami, Telszami lub Kozieniami piją krupnik ten gorący z masłem, a nawet ze szmalcem, a to dla tego, żeby moje czytelniczki, (a może się trafi, że i jaki czytelnik „Bluszcz“ czytuje?)—nadto tego przepisu nie żałowały.

Pani Elżbieta



POTRAWA Z RESZTEK DROBIU

Z dwóch jaj i półtorej szklanki mąki usmażyć niezbyt cienkie naleśniki, — powinno z tej ilości być ich 8—10. Wszelkie resztki drobiu oddzielić starannie od kości (mogą być na to użyte resztki jednego lub kilku gatunków ptactwa, ciemnego i białego), przepuścić to mięso przez maszynkę. Parę młodych grzybków ugotować, usiekać, przesmażyć na maśle z utartą na tarce hiszpańską lub cukrową cebulą. Jeszcze smaczniej będzie, jeśli zamiast grzybków weźmiemy kilka pieczarek; dodać usiekane mięso, zasmażyć razem. Z pozostałych kości (jeśli tych kości zbyt dużo, nie używać wszystkich, gdyż potrawa cała miałaby smak kleju,) i zwykłej włoszczyzny ugotować około litra smaku. Do masy mięsnej (której powinno być około trzech ćwierci kilo,) wsypać dobrą łyżkę mąki, wymieszać, wlać półtorej szklanki te-

go rosółu i pół szklanki smaku z grzybów, zagotować razem, posolić, popieprzyć i odstawić, aby wystygło. Formę wysmarować masłem, wyłożyć naleśnikami, dalej kłaść naprzemian farsz i naleśniki. Ostatni powinien być naleśnik. Położyć na wierzch parę małych kawałeczków masła i wstawić w piec na dwadzieścia minut. Na pozostałym smaku z kości, z dodaniem paru łyżek smaku grzybowego zrobić zwykły sos śmietankowy. Po przełożeniu babki na półmisek, pokrajać ją ostrym nożem na sześć równych części, a sos podać oddzielnie w sosjerce. Jest to dobre zużycie nóg i grzbietów drobiu, które zwykle pozostają na półmiskach.

KOTLETY Z GOTOWANEJ RYBY.

Rybę gotowaną oczyścić starannie ze skórki i ości. Na pół kilo takiej ryby namoczyć w mleku dziesięć deka bułeczki, wycisnąć ją mocno i przepuścić przez maszynkę wraz z rybą. Cebulę dużą, o łagodnym smaku, utrzeć na tarce i przesmażyć, nie rumieniąc, w łyżce masła, zmieszać z rybą; nakonec wbić jedno duże, lub dwa małe jaja, posolić do smaku, trochę popieprzyć; kto lubi, może dodać odrobiny gałki muszkatołowej, czy siekanego zielonego koperku. Wyrobić masę tak mocno, aby zupełnie od rąk odstała. Zrobić osiem zgrabnych, cienkich kotletów, utarzać w mące, lub, kto lubi chrupiącą skórkę, naprzód w rozbitym jajku, a potem w tartej bułeczce, zmieszanej z mąką, i usmażyć na rumiano na obficie rozpuszczonym maśle lub szmalcu. Podawać z purée kartoflanem, jakąbądź jarzynką, lub też z pomidorowym czystym sosem, a nawet tylko obłożone ćwiartkami cytryny. W smaku nie ustępują kotletom z surowej ryby.

SALATA Z CZERWONEJ KAPUSTY

Kilową główkę czerwonej kapusty poszatkować cienko, wrzucić na osolony wrzątek, potrzymać dwie minuty, odlać na sito, przelać zimną wodą. Mieć ugotowaną białą, drobną perłową fasolkę, (użyć na to około ćwierć kilo suchej fasoli) i spory seler, który po ugotowaniu obrać ze skórki i pokrajać w cieniuchne plasterki. Kapustę osolić do smaku, posypać paru łyżkami cukru, polać octem i mieszać, aż nabierze ładnego, różowego koloru; zmieszać z fasolą i selerem, zalać paru łyżkami najlepszej oliwy, wymieszać dokładnie, przełożyć na salaterki (wyjdą dwie spore z tej ilości) i postawić na godzin sześć przynajmniej w niezbyt ciepłym pokoju: gdy postoi dłużej, jest lepsza. Podawać do czarnych mięs: sztufady, zająca, sarniny, baraniny i. t. p.

Pani Elżbieta

WYKWINTNE KOSMETYKI

Według recepty Dr. J. Świtalskiej:

Płyn na wzmocnienie włosów, Jajeczka do mycia włosów, Maść na łupież, „Mój Krem“ — przeciw zmarszczkom, „Mój puder“ we wszystkich odcieniach. Krem cytrynowy, Krem poziomkowy, Galaretka na łojotok, Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu, Maść przeciw odmrożeniom, Mydła cytrynowe, poziomkowe i liljowe, Róże higieniczne.

WARSZAWA, KRUCZA 31 m. 3.

NA PROWINCJĘ WYSYŁKA ZA ZALICZENIEM

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Z. S. Mejszagoła. Najładniejsze dywaniki obecnie robi się robotą, zwaną „Artystyczne tkactwo bez warsztatu”. Jest to robota łatwa i niedroga, a bardzo ładna i praktyczna. W wydawnictwie „Modne roboty kobiece” znajdzie Sz. Pani jej opis i wzory. Możemy nadesłać po otrzymaniu należności w sumie 2 zł. na conto P.K.O. 13.555, albo przesłać w znaczkach pocztowych wprost do Redakcji, Krak.-Przedmieście 99.

Do dzieciennego pokoju najlepsze są maty z warkoczy, plecionych z rafji. Sądzę, że obmywanie zimną wodą należy robić z samego rana, przed wszystkimi innymi zabiegami.

Do hodowli drobiu, o ile Pani chce mieć książkę obszerną, proszę kupić „Kury”, przez M. Trybalskiego, kierownika działu hodowli drobiu przy Centr. Tow. Rolniczem; albo popularniejszą, tego samego autora, pod tytułem: „Gospodarski chów drobiu”. Racjonalna hodowla zawsze się opłaca—dowodem tego Pomorze, które zaopatruje cały kraj w przesłiznie utuczony drób i ciągnie z tej gałęzi gospodarstwa duże korzyści. Książki, wyżej wspomniane, nabyć można w każdej księgarni; na składzie są w księgarni rolniczej: Warszawa, Nowy-Świat 35.

Pani St. P. Kraków. Pomimo najszczerzych chęci dopomoczenia Sz. Pani—dotąd nie mogliśmy niczego dowiedzieć się w Jej sprawie. Niech Sz. Pani nie ustaje w staraniach w Krakowie, tak osobiście, jak przez adwokata.

Pani S. L. Maków. Naukę batikowania podawaliśmy w „Bluszczu” w końcu 1925 r. i na początku 1926 r. Jeśli Szanowna Pani „Bluszcz” wtedy już prenumerowała, to łatwo odnajdzie wspomniane artykuły.

Ciekawej. Aczkolwiek używanie sztucznych środków upiększających nie powinno być stosowane w racjonalnej pielęgnacji urody kobiecej, jednak w pewnych wypadkach należy podkreślić swoje wdzięki i tuszowanie swoich wad — bywa dopuszczalne.

Ażeby sztuczne środki sprawiały estetyczne wrażenie, należy stosować środki przede wszystkim higieniczne, o kolorach niezbyt jaskrawych.

Róże higieniczne powinny być wyrabiane tylko ze środków roślinnych, jak czerwienica—roślina, znana w starożytnym Egipcie, w Syrii i Babilonie.

Róże higieniczne bezwzględnie nie powinny zawierać domieszek mineralnych, tak bardzo szkodliwych i niszczących cerę. Laboratorium wykwintnych kosmetyków (Krucza 31), wyrabia higieniczne róże w 2-ch odcieniach: dla blondynek i brunetek.

Wysłała się za zaliczką na prowincję.

Liszaje zimowe — Godet Aleksandrze. Liszaje występują w postaci drobnych guzków na zaczerwienionej i swędzącej skórze, najczęściej w jesieni i w zimie. Przy cerze suchej ilość łoju jest zamała, występuje łuszczenie się, oraz opierzchnięcie. Działanie wiatrów i słońca sprzyja tworzeniu się liszaj. Skóra twarzy, narażona na zmiany atmosferyczne, jest bardzo skłonna do powstawania liszaj. Doskonały środek przeciw liszajowi stanowi dobry krem, który w przeciągu kilku dni usuwa zmiany na skórze. Krem należy stosować dwa razy dziennie, rano i wieczorem, na dzień zaś przypudrować. Do mycia twarzy podczas występowania liszaj używać tylko oliwy w przeciągu paru dni, następnie myć twarz wodą letnią bez mydła, z dodatkiem łyżeczki boraksu i łyżeczki gliceryny. Po kilku dniach, gdy objawy już ustępują, używać dobrego, higienicznego mydła. Na wycieczkach turystycznych, na ślizgawce b. dobrze jest zapobiegać i ochraniać skórę, nacierając twarz kremem.

Do № 51 „Bluszczu” z roku zeszłego dołączyliśmy wielobarwny prospekt gwiazdkowy z przepisami na cały szereg ciastek, placków, bab i tortów. Przepisy Dr. Oetkera znajdują od lat coraz szersze zastosowanie. Preparaty firmy Dr. A. Oetkera nagrodzone zostały jesienią 1926 r. na Wystawie Higieniczno-Spożywczej we Lwowie Złotym Medalem, zaś jesienią 1927 r. takim samym Złotym Medalem na wystawie gospodarczo spożywczej w Katowicach.

Pieczone według wskazówek Dr. Oetkera mazurki, baby, placki i torty udać się muszą, są przytem smaczne, zdrowe i tanie.

Kto wspomnianego prospektu nie otrzymał, niechaj zwróci się po bezpłatne dostarczenie wprost pod adresem: Dr. Oetker, Fabryka Środków Spożywczych, Oliwa.

„Pieczywo domowe“

UCZY JAK PIEC W DOMU BUŁKI, CHLEB, CIASTO I CIASTKA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O przyjęciach i stole jadalnym“

ZASADY WYTWORNEGO NAKRYWANIA STOŁU DLA GOŚCI I W DNIU CODZIENNYM

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.